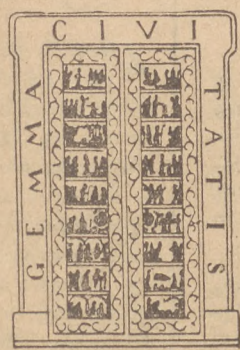


W NUMERZE: Szymon Dereń: Od Monachium do Pragi; Tadeusz Pajda: Doświadczenia i postulaty; Zbigniew Czajkowski: Wspomnienie z Lipska; Jerzy Krzyżanowski: Sceptyk czyli opowieść sportowa; Bohdan Gębski: W cieniu umarłych miast; Andrzej Piotrowski: Wiersze; Jerzy Krzysztoń: Księga młodych nadziei; Andrzej Odnowa: Teatr wielkich mistrzów; Alina Swiderska: Fantazy sercem wolny; J. Ezupowiczowa: Co jest miarą literackiego a'czydzia? Stefan Luchański: Przeciw automatyzacji; Jerzy Olkiewicz: Królestwo absurdu.



* PAX *

DZIS i JUTRO

E. N. DZELEPY

„MACARTHURYZM” W INDOCHINACH

Artykuł niniejszy jest tłumaczeniem z lipcowego numeru „Esprit” i został napisany przed osiągnięciem porozumienia w Genewie. Mówi on o faktach, które dzisiaj znalazły już w dużej mierze rozwiązanie, niemniej artykuł E. N. Dzelepy'ego nie stracił na aktualności, ukazując cele i motywy polityki amerykańskiej w Azji — widziane oczyma tych Francuzów, którzy widzą coraz większe rozbieżności między interesami własnego kraju, a „polityką siły” reprezentowaną przez Departament Stanu.

„MACARTHURYZM” jest w trakcie „odgrywania” się w Indochinach. Na tym polega sens obecnej polityki Stanów Zjednoczonych w konflikcie indochińskim, polityki, która weszła w swą fazę najgroźniejszą — zarówno dla Francji jak i dla pokroju.

W Korei „macarthuryzm” wyrażał się w tendencji do rozszerzenia wojny pod pretekstem szybkiego jej zakończenia; przenoszono ją — na początek — na terytorium Chin Ludowych. Próba ta nie udała się m. in. dzięki opozycji aliantów Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim Wielkiej Brytanii. Generał Mc Arthur został usunięty, istniały bowiem obawy pod tym względem — potwierdzone najzupełniej wyraźnie przez badania senatu — że jego osobista polityka wciągnie Stany Zjednoczone, osamotnione i pozbawione sprzymierzeńców, w trzecią wojnę światową.

Jednakże, dymisja ta nie oznaczała śmierci „macarthuryzmu”. Ujawnił się on w parę miesięcy później, w związku ze zwycięstwem wyborczym republikanów. Pierwszą postunięciem generała Eisenhowera natychmiast po objęciu przez niego władzy w Białym Domu („denuclearizacja” Formozy) były inspirowane przez politykę prekonizowaną przez Mc Arthura. A te posunięcia stanowiły „pierwszy krok”, początek wielkiego programu polityki „dynamicznej”, skierowanej bezpośrednio przeciwko Chinom. I tym razem jednak alianty Stanów Zjednoczonych w porę zahamowali zapędy Waszyngtonu. Co prawda żaden popularny generał nie został usunięty, lecz w każdym razie „dynamiczna” polityka rządu republikańskiego została wyraźnie zablokowana. „Macarthuryzm” poniósł nową porażkę.

Waszyngton nie zrezygnował z programu republikańskiego; Stany Zjednoczone chwilowo i niechętnie były zmuszone go porzucić i oczekiwać dogodnego momentu, aby do tego programu powrócić, tym razem już podlegając za sobą aliantów. Chodziło o ponowne otwarcie rozdziału, zdaniem Waszyngtonu zamkniętego przedwcześnie i niekorzystnie przez rozejm w Korei.

1.

Wojna w Korei zakończyła się dla Stanów Zjednoczonych nierozegrana nie tylko w dziedzinie wojskowej, lecz przede wszystkim — strategicznej. Rozejm (który Amerykanie ostatecznie zostali zmuszeni przyjąć, po próbach sabotażu na go zarówno bezpośrednio jak i za pomocą Li Syn-mana) oznaczał klęskę „macarthuryzmu” w Korei, gdyż usunął, co najmniej na okres najbliższy, wszelkie możliwości rozszerzenia wojny w Chinach. Z punktu widzenia amerykańskiego oznaczało to jednak tylko przesunięcie rozgrywki na później.

Foster Dulles zapobiec skutkom tej porażki — będącej niepowodzeniem zarówno jego własnej

polityki jak i programu rządu republikańskiego — przez pozostawienie możliwości ponownego prowadzenia akcji zbrojnej, a nawet rozszerzenia wojny w Chinach.

Na tym polega sens paktu obronnego, który został zawarty w Seulu 5 sierpnia 1953 pomiędzy amerykańskim sekretarzem Stanu i Li Syn-manem, a — zwłaszcza — ich wspólną deklaracją ogłoszoną tego dnia, określającą wspólną podstawę Stanów Zjednoczonych i Korei południowej w stosunku do konferencji politycznej, która miała się zebrać po konferencji rozejmowej. Tę samą tendencję wyrażał również inny dokument podpisany poprzednio, a mianowicie deklaracja szesnastu państw, które wzięły udział w wojnie w Korei. Deklaracja ta stwierdzała, że celem konferencji politycznej ma być realizacja zjednoczenia Korei, co mogło być rozumiane wieloznacznie oraz, że złamanie rozejmu mogłoby uniemożliwić ograniczenie działań wojennych do granic Korei.

Układ koreańsko - amerykański dotyczył również wspólnej polityki na wypadek fiaska konferencji politycznej — fiaska uważanego za pewnik — aby w ten sposób umożliwić Stanom Zjednoczonym i Korei południowej swobodę akcji przeciwko Korei Północnej, natomiast deklaracja szesnastu państw średnio wiązała te państwa z ewentualną akcją koreańsko - amerykańską, w przewidywaniu rozszerzenia konfliktu w Chinach.

W każdym razie zasadniczym faktem wynikającym z tych dokumentów, a zwłaszcza deklaracji koreańsko - amerykańskiej, było, że niebezpieczeństwo związane z możliwością opuszczenia przez USA i Koreę południową konferencji politycznej — niebezpieczeństwo, które wywołało wówczas znaczny niepokój wśród aliantów Ameryki i żywe komentarze w parlamencie brytyjskim — pozostało niezagrożone. Niebezpieczeństwo to wyda-

wało się tym groźniejsze, że zdawało się, iż Amerykanie bardzo starannie przygotowali ewentualne opuszczenie konferencji.

Postawa Stanów Zjednoczonych zasadniczo miała być funkcją postawy przyjętej przez stronę koreańską - chińską; jeśli by, po upływie trzech miesięcy, Amerykanie i Koreańczycy południowi „doszli do przekonania, iż przeciwnik objawia złą wolę”, wówczas — stwierdzała deklaracja — gotowi będą wspólnie opuścić konferencję. Jednakże, jak wynika z tekstu deklaracji Dulles — Li Syn-man, opuszczenie konferencji przez Amerykanów było właściwie zapewnione nawet gdyby strona koreańsko-chińska okazała maksimum dobrej woli, gdyż dokument ten stwierdzał, że USA będą na konferencji politycznej dały przede wszystkim do zjednoczenia Korei.

Deklaracja Dulles — Li Syn-man pozostawiała więc konferencji tylko jedną możliwość: wycofanie się całkowite strony koreańsko - chińskiej i pozostawienie całej Korei pod władzą lisynmanowców. A zatem Amerykanie mieli z góry przygotowane usprawiedliwienie opuszczenia konferencji, zjednoczenie bowiem Korei według recepty amerykańskiej było wykluczone.

Układ pomiędzy dyktatorem Korei południowej a Fosterem Dullesem „zastrzegł przyszłość” i pozostawiał szeroko otwarte przed możliwością powrotu do polityki prekonizowanej przez Mc Arthura, która tym razem cieszyłaby się poparciem aliantów USA. Wszystkie jednak te manewry i kombinacje rozplynęły się w rzeczywistości wytworzonej przez zaprzestanie działań wojennych w Korei. Wojownicze wystąpienie Li Syn-mana nie mogły już odwrócić tej nowej sytuacji. Wojna w Korei była zakończona i nie łatwo byłoby ją znów wzniesić za pomocą tendencyjnych interpretacji układu rozejmo-

wego lub systematycznego sabotażu mającej po nim nastąpić konferencji politycznej. Toteż w Waszyngtonie zdecydowano się wreszcie na porzucenie, przynajmniej chwilowo, wszelkich zamiarów mających przywrócić do życia „macarthuryzm” w Korei.

2.

W związku z powyższym Indochiny nabrały w oczach Amerykanów nowego i doniosłego znaczenia politycznego. Indochiny stały się obszarem nadającym się najlepiej do prowadzenia dalszej rozgrywki w Azji, do powrotu do koncepcji Mc Arthura, której w Korei nie udało się wprowadzić w życie. Koncepcja ta jest najbardziej brutalnym ale i najbardziej autentycznym wyrazem polityki USA na Pacyfiku — polityki, której osią jest bezwzględna walka z Chinami Ludowymi, której jedynym celem jest ich zniszczenie¹⁾.

Na skutek zakończenia działań wojennych w Korei obraz sytuacji zmienia się całkowicie w oczach strategów Pentagonu, którzy odkrywają teraz, że „linia bezpieczeństwa” Stanów Zjednoczonych przebiega również przez Indochiny, że walka prowadzona tam przez Francję nie jest „wojną kolonialną” lecz walką „wolnego świata” przeciwko „komunistycznej agresji”. W ten sposób Amerykanie kładą podwaliny strategiczne i ideologiczne pod nową politykę polegającą na transplantacji „macarthuryzmu” do Indochin, inaczej mówiąc — na zamienieniu Wietnamu w „nową Koreę”.

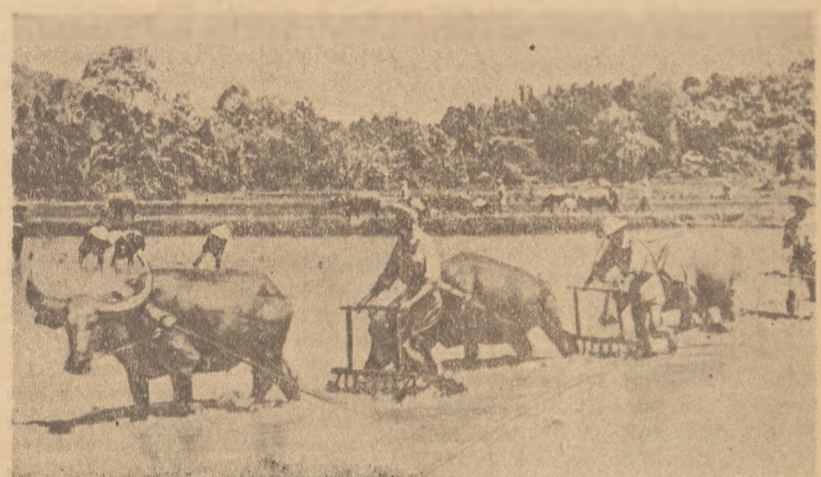
3.

Okazywane od zakończenia wojny w Korei zainteresowanie Amerykanów całkowitą „niepodległością” Indochin jest najzupełniej jasne. Wiązało się ono z ich nową polityką indochińską i czyniło ją bardziej zrozumiałą. W obawie przed „wycofaniem się” Francji, to



Wietnam wczoraj...

...i dziś



jest przed pokojowym załatwieniem konfliktu w Indochinach, Amerykanie dążyli do zahamowania swoich interesów w pośrednictwem państw sferowanych.

„Całkowita niepodległość” Indochin oznaczała dla Amerykanów eliminację niepewnej Francji, wszelkie bowiem decyzje należałyby wówczas do tych państw, na które Waszyngton mógł liczyć przy prowadzeniu polityki nie dającej się pogodzić z rokowaniami z Wiet-Min-

hem i wykluczającej jakiegokolwiek pokojowe rozwiązanie konfliktu. Oznaczało to również, że Amerykanie zapewniali sobie bazy dla dalszej akcji w Indochinach. Na wypadek gdyby rząd francuski, ustępując presji własnej opinii publicznej, rozpoczął negocjacje z Ho Szi Minem — rząd amerykański chciał sobie zapewnić możliwość ignorowania ich po prostu i liczenia się jedynie z wola państw indochińskich „niepodległych” i „suwerennych”. Jednym słowem, Waszyngton rozporządzał, w osobach Bao Daia i jego kolegów w Kambodży i w Laosie, tylu szefami państw a la Li Syn-man i Stany Zjednoczone mogłyby prowadzić swą grę z pomniejszeniem Francji.

Zmiana polityki amerykańskiej w Indochinach i uzasadnienie tej zmiany zostały ujęte najzupełniej jasno w wypowiedzi Foster Dullesa podczas jego głośnego przemówienia 2 września 1953 w Saint Louis, na kongresie „American Legion”.

„My, Amerykanie — mówił Sekretarz Stanu — nie dawaliśmy sobie dostatecznie sprawy do rozmiarów wysiłków i ofiar ponoszonych przez Francję dla obrony kraju, który nie jest już kolonią francuską i osiągnie wkrótce całkowitą niepodległość. Ten program niepodległościowy jest zgodny z zasadami popieranymi przez Stany Zjednoczone i usprawiedliwia zwiększoną pomoc z naszej strony, pod warunkiem, że ta pomoc zapewni w tym kraju energiczny i decydujący wysiłek”.

Najbardziej jednak interesująca była ta część owego przemówienia, w której Foster Dulles stwierdził (po raz pierwszy) łączność konfliktu koreańskiego i konfliktu indochińskiego.

¹⁾ W czerwcu br. Walter Lippman pisał w „New York Herald Tribune”, że „bezwzględny celem” interwencji amerykańskiej w Waszyngtonie jest likwidacja ustroju komunistycznego w Chinach. Generał Van Fleet pisał parę miesięcy wcześniej w „Life” „za żadną cenę nie powinniśmy dążyć do kompromisu z Chinami komunistycznymi”.

(Dokończenie na str. 2)

ANDRZEJ MICEWSKI

Wokół sprawy bezpieczeństwa

Radziecka ofensywa pokojowa po oczywistym zwycięstwie zasady rokowań na Konferencji Genewskiej odbija się szerokim echem wśród społeczeństw całego świata, a zwłaszcza wśród społeczeństw Europy zachodniej. 4-go sierpnia br. rząd Związku Radzieckiego przekazał rządowi Francji, Anglii i USA nową notę w sprawie zawarcia układu o zbiorowym bezpieczeństwie w Europie. Nota radziecka przewiduje zwołanie w ciągu najbliższych miesięcy konferencji wszystkich państw europejskich, które zechcą wziąć w niej udział, jak również USA i przedstawiciela Chińskiej Republiki Ludowej jako obserwatora dla rozpatrzenia sprawy stworzenia systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie.

W nowej nocie radzieckiej istnieją dwa elementy zupełnie nowe, świadczące o dalszym kroku rządu radzieckiego w kierunku usunięcia wszystkich przeszkód, byle wprowadzić system zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Mianowicie rząd Radziecki traktując nierozdzielnie sprawę zbiorowego bezpieczeństwa w Europie z problemem jedności Niemiec, co do którego nie udało się dotychczas osiągnąć porozumienia, ponieważ „nie stworzono jeszcze widocznie wszystkich niezbędnych warunków” — wycho-

dzi z założenia, że należałoby „podjąć nowe wysiłki, aby porozumieć się w pierwszej kolejności co do niektórych poszczególnych zagadnień, związanych z problemem niemieckim, które już obecnie uregulować można w sposób możliwy do przyjęcia przez strony zainteresowane”.

Z tych znamienitych słów ostatniej noty radzieckiej wynika, że już w tej chwili można by się porozumieć jeżeli chodzi o poszczególne zagadnienia, związane z problemem niemieckim i to w sposób możliwy do przyjęcia przez strony zainteresowane.

Ale ostatnia nota rządu radzieckiego zawiera jeszcze drugi ważny element w postaci propozycji, aby we wrześniu bieżącego roku odbyć wstępny konferencję ministrów spraw zagranicznych Anglii, Francji, USA i ZSRR w celu zwołania potem konferencji w sprawie zbiorowego bezpieczeństwa i problemu niemieckiego.

Tak ostatnia jak i poprzednia nota radziecka dowodzi, że rząd ZSRR czyni wszystko, by w obliczu niebezpieczeństwa powstania Wehrmachtu w ramach tak zwanej „Europejskiej Wspólnoty Obrony” zapobiec temu przez wykazanie najdalej idącej dobrej woli w porozumieniu się co do zasad bez-

pieczeństwa zbiorowego. Po oczywistym, jak powiedzieliśmy, zwycięstwie rokowań w Genewie nowe kompromisowe (w zdrowym tego słowa znaczeniu) propozycje rządu ZSRR stwarzają rządowi zachodniemu bardzo trudną sytuację, ponieważ odrzucenie propozycji radzieckich jest sprzeczne z wolą narodów, domagających się zabezpieczenia przed rewizjonizmem zachodnim - niemieckim. 24 sierpnia odbędzie się we francuskim Zgromadzeniu Narodowym debata nad „armią europejską”.

Oczywiście Amerykanie zrobią wszystko, żeby przeformować układy z Bonn i Paryża. Z drugiej jednak strony wydarzenia ostatnich miesięcy były szeregiem niepowodzeń ich wysiłków w tym kierunku, a obecną opinię francuską, nawet kół mieszczańskich i prawicowych, najlepiej charakteryzuje głos byłego degaullisty, Jacques'a Soustelle, zamieszczony w dzienniku „Combat”: „Chciałbym wreszcie wiedzieć, czy rząd francuski odrzuci propozycję radziecką, czy też przeciwnie, zdobędzie się na tyle odwagi, iż uczyni to, czego — jestem przekonany — pragnie olbrzymia większość Francuzów: rozpocznie z przedstawicielami państw wschodnich rozmowy na temat problemów europejskich. Nie widzę żadnego argumentu, mogącego u-

zasadnie odmówić wszczęcia tego rodzaju rokowań”.

Z punktu widzenia polskiej współczesnej racji stanu radzieckie propozycje w zakresie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie są nadzwyczaj ważne. Dał temu wyraz rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w oświadczeniu z dnia 8 sierpnia br., w którym czytamy: „Rząd PRL jest zdania, że nie ma i nie może być takich trudności, których nie należałoby usunąć w celu zapobieżenia odrodzeniu militarystyki niemieckiej i groźbie nowej wojny w Europie oraz wyraża gotowość wzięcia udziału w konferencji proponowanej przez rząd ZSRR”.

To stanowisko rządu polskiego wyraża z całą pewnością polski interes narodowy oraz odpowiada perspektywom, jakie niesie ze sobą dla wszystkich krajów europejskich system zbiorowego bezpieczeństwa. Propozycje radzieckie zdobywają sobie w przekonaniach wszystkich narodów europejskich zdecydowaną większość. Dowodzą tego głosy opinii społecznej w Anglii, Francji, we Włoszech i w Niemczech Zachodnich. W tej sytuacji sprawa bezpieczeństwa zbiorowego w Europie musi się stać w końcu zwycięską alternatywą agresywnej armii zachodnio - europejskiej.

W roku ugiełtym omawialiśmy na łamach naszego pisma pierwsze trzy tomy wydawanych równoległe w Francji i Anglii „Tajnych archiwów Wilhelmstrasse”. Czwarty tom tej publikacji poświęcony jest okresowi między konferencją monachijską a zajęciem Pragi przez hitlerowców.

Przystępując do swej pracy wydawcy przyjęli mieszaną system chronologiczno - rzeczowy, grupując w specjalne rozdziały stosunki Rzeszy Niemieckiej z poszczególnymi państwami w pewnych określonych ramach czasowych. Metoda ta okazała się niezbyt szczęśliwą, gdyż np. w omawianym tomie mamy dokumenty dotyczące stosunków dyplomatycznych między Niemcami hitlerowskimi a wielkimi mocarstwami zachodnimi i Czechosłowacją, podczas gdy istotne dla wyjaśnienia problemu przygotowywania aneksji Czechosłowacji materiały o stosunkach z Polską, Węgrami, Rumunią itd. przesunięte zostały do tomu następnego, który obejmuje „Stosunki Rzeszy z mniejszymi państwami w okresie 1936 — 1939”. W ten sposób nie otrzymujemy całości obrazu akcji dyplomacji niemieckiej w czasie między 1 października 1938 r. a 15 marca 1939 r., której punktem centralnym było pełne wykorzystywanie wolnej ręki pozostawionej jej przez mocarstwa zachodnie w Monachium wobec Czechosłowacji, przy czym nawet w ramach jednego tomu trzeba dla stwierdzenia gry hitlerowskiej sięgać równoległe do poszczególnych rozdziałów.

Ogólnie biorąc czwarty tom wydawnictwa, tak zresztą jak i poprzednie, nie przynosi żadnych sensacyjnych rewelacji potwierdzających jedynie rzeczy na ogół znane. Poza tym wyczuwa się umiejętne selekcjonowanie przez wydawców materiałów przeznaczonych do druku, usuwających wszystko to, co ujawniałoby wyraźnie zakulisowe przygotowanie bloku antyradzieckiego z udziałem faszystów niemieckich oraz to, co było niewygodne dla propagandy tych obecną polityki „atlantyckiej”. Zwraca znowu uwagę niezmiernie niska ilość dokumentów dotyczących roli Stanów Zjednoczonych w ogólnej polityce europejskiej. Można by było odnieść wrażenie, i to chyba było świadomą intencją amerykańskich współredaktorów wydawnictwa, że dyplomacja waszyngtońska w ogóle prawie nie interesowała się problemem agresywnej ekspansji imperializmu niemieckiego, co (rzecz prosta) sprzeczne jest z

ogólnie znanymi faktami. W rozdziale o stosunkach III Rzeszy ze Stanami Zjednoczonymi główne miejsce zajmują negatywne reperkusje w opinii amerykańskiej na prowadzoną w tych czasach gwałtowną akcją przeciwko Żydom w Niemczech i ze specjalnym naciskiem uwypuklane są wszystkie wystąpienia prezydenta Roosevelta przeciwko reżimowi hitlerowskiemu w Rzeszy. To tendencyjne tużowanie roli imperializmu amerykańskiego w pchnięciu militarnym hitlerowskiego przeciwko Związkowi Radzieckiemu dyskwalifikuje całkowicie reklamowaną „obiektywność” wydawców.

Pomimo tych wszystkich wysiłków ogłoszone dokumenty* rzucają sporo dodatkowego światła na przelichne intencje autorów ugody monachijskiej i na zupełnie logiczne w związku z tym traktowanie jej przez Hitlera jako punktu wyjścia do dalszej agresywnej ekspansji na wschodzie. Wbrew wszelkim późniejszym twierdzeniom propagandy mocarstw zachodnich, platformą wyjściową porozumienia czterech mocarstw w Monachium było — a potwierdzają to pośrednio liczne ogłoszone dokumenty — wspólne stanowisko — „antybolszewickie” i odwracanie ekspansji hitlerowskiej z zachodu na wschód. Natychmiast po Monachium hitlerowcy rozpoczęli krzykliwą kampanię propagandową wokół „sprawy ukraińskiej” podając ją w osie „prawa Ukraińców do samostanowienia”. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to przyzwyczajenie propagandowe do akcji ofensywnej przeciwko Związkowi Radzieckiemu, tak jak podjęcie planu rozbioru Czechosłowacji poprzedziła kampania o rzekomym uciskaniu mniejszości narodowych w tym kraju. Reakcja Wielkiej Brytanii i Francji wobec podjęcia sprawy ukraińskiej była jak najbardziej pozytywna. Tamtejsi ambasadorzy niemieccy stwierdzali zgodzie, że o ile zagrożenie Czechosłowacji wywoływało poprzednio szerokie szermowanie ze względów taktycznych frazesami o konieczności obrony jej suwerenności, to spodziewana już na wiosnę 1939 r. akcja mająca na celu „wyzwolenie Ukraińców od bolszewików” traktowana była z góry jako sprawa nie naruszająca interesów mocarstw zachodnich, lecz przeciwnie — jako dla nich korzystna.

Jednakże przed rozpoczęciem ofensywy na Związek Radziecki hitlerowcy uważali, że muszą poprzednio skonsolidować swe pozycje w Europie Wschodniej. Pierwszym na-

tem tego miała być definitywna aneksja Czechosłowacji, drugim — pełne ujarzmienie Polski, lecz to nie wchodziło już w ramy omawianego obecnie wydawnictwa.

W parę dni po Monachium niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało do swych przedstawicieli dyplomatycznych okólną instrukcją, polecającą podkreślać z naciskiem, że rząd Rzeszy nie ma dalszych pretensji terytorialnych w stosunku do Czechosłowacji, lecz jedynie chce zapewnić sobie tam swe interesy ekonomiczne. Była to tylko zasłona dymna, mająca ułatwić aneksję Czech i Moraw bez konieczności dawania jakichś rekompensat mocarstwom zachodnim. Już 21 października 1938 r. Hitler dał dowództwu Wehrmachtu dyrektywę przygotowania okupacji Czechosłowacji siłą zbrojną.

Na odcinku politycznym przygotowywanie gruntu ku temu odbywało się przez zaspokajanie pretensji terytorialnych Węgry, podniecanie separatyzmu słowackiego i stopniowe wciąganie Hachowskiej Czechosłowacji w orbitę wyłącznych wpływów politycznych i gospodarczych faszystowskiej Rzeszy. Wywoływało to wiele trudności i sprzeczności nielatwych do pogodzenia, gdyż Węgry, popierane przez Polskę sanacyjną, pragnęły przyłączenia do nich Rusi Przykarpackiej, której Niemcy przeznaczały rolę Piemontu ukraińskiego, a jednocześnie rewindykację Węgry w stosunku do Słowaczyny utrudniały grę na separatyzmie nacjonalistów słowackich. Poza tym reakcyjny rząd czechosłowacki zgadzał się na rolę satelity Niemiec, ale domagał się w zamian za to obrony przed pretensjami Węgry i Słowaków oraz przypominał daną w Monachium obietnicę zagwarantowania przez wszystkie mocarstwa nietykalności definitywnie ustalonych granic Czechosłowacji. Załatwienie tych sprzeczności dokonane zostało w tzw. arbitrażu wiedeńskim przy udziale Włoch, przy czym mocarstwa zachodnie ułatwiły Niemcom zadanie, rezygnując z góry z ingerowania w te sprawy.

Francja i Anglia nie mogły nie wiedzieć, że hitlerowcy zmierzają do faktycznego i całkowitego opanowania Czechosłowacji, lecz a priori były gotowe uznać takie fakty dokonane, tylko jednak w ramach ogólnej ugody z III Rzeszą co do podziału sfer wpływów i interesów gospodarczych dyskutowanych naprzód kolonialną eksploatacją terenów rosyjskich przez imperiali-

stów niemieckich. Wstępem do tej ugody były deklaracje o współpracy politycznej: niemiecko - angielska z dnia 30 września 1938 r. i niemiecko - francuska z 6 grudnia 1938 r. Dalszy krok stanowiły znane bezpośrednio rokowania w Düsseldorfie zakończone wydaniem (w dniu zajęcia Pragi przez hitlerowców) wspólnej deklaracji o zasadach współpracy gospodarczej. Znacznym na marginesie, że jeden z dokumentów wyraźnie stwierdza, iż jeszcze 3 kwietnia 1939 r. brytyjski Związek Przemysłowców wyrażał gotowość kontynuowania rokowań na tej płaszczyźnie. Mniej znany jest również fakt, ujawniony w omawianym zbiorze dokumentów, że w tym samym czasie toczyły się w Paryżu i Berlinie rokowania gospodarcze dotyczące współpracy finansowej w dziedzinie wspólnej ekonomicznej eksploatacji; dotyczyło to zwłaszcza Ameryki łacińskiej, Hiszpanii i Afryki Północnej. Nic więc dziwnego, że jeszcze 14 i 15 marca 1939 r., a więc gdy akcja zbrojnej okupacji Czechosłowacji była już rozpoczęta, brytyjski minister Spraw Zagranicznych — lord Halifax — i ambasador Anglii w Berlinie — Henderson — składali hitlerowcom deklarację, iż uznają całkowitą wyłączność interesów niemieckich w Czechosłowacji, lecz ostrzegają tylko pzew „dnostronnym załatwianiem, które zaszkodziłoby mogło rozwijającym się tak pomyślnie rokowaniom gospodarczym.

Ta polityka „monachijska” nie była dziełem tylko paru zaślepionych i zacietrzewionych ministrów, jak to usiłuje dziś przedstawiać usłużna historiografia burżuazyjna na Zachodzie. Raporty ambasadorów niemieckich w Londynie i Paryżu stwierdzają, że w Anglii prawie cała partia konserwatywna i prawicowa większość Labour Party popierała lansowaną przez Neville'a Chamberlaina ideę współpracy z hitlerowską Rzeszą, a we Francji — politykę taką popierała cała mieszczańska większość parlamentu, przy czym najgorliwsi w wychwalaniu ugody monachijskiej byli socjaliści Bluma. Ogłoszony raport głośnego Abetzta jest bardzo kompromitujący dla byłego wicepremiera Francji, Paul Reynaud, który w wydanych po wojnie książkach usiłował przedstawiać siebie jako człowieka przeciwnika faszystowskich Niemiec. Otóż Abetz relacjonuje swą rozmowę z Reynaud z 23 października 1938 r., w której ten ostatni bronił się przed zarzutem, iż jest przeciwnikiem współpracy francusko - niemieckiej i

twierdził nawet, że błędem jest, iż realizację jej dokonują „słabi (les mouls) jak Bonnet, podczas gdy powierzenie tego jemu, jako przedstawicielowi „twardych” (les dures), przesądziłoby o jej całkowitym przyjęciu przez opinię francuską.

Sprawy polityki naszego rządu sanacyjnego poruszane są w zbiorze tylko pośrednio i głównie w związku z rozgrywką o Ruś Przykarpacką i Słowaczynę. Występuje jasno całkowite nieliczenie się dyplomacji niemieckiej z decyzjami „sojusznika polskiego”. Beck popierał gorliwie pretensje węgierskie, lecz właśnie to było jednym z głównych argumentów Wilhelmstrasse na rzecz ograniczonej ich realizacji. „Autonomiczna” Ruś Przykarpacka, jako Piemont ukraiński, miała być m. in. szychem wymierzonym przeciwko Polsce skłaniającym ją do ustępliwości w sprawie Gdańska i korytarza pomorskiego. Gdy Włochy zaproponowały incydentalnie, aby Polska wzięła udział w arbitrażu wiedeńskim, Ribbentrop odrzucił to bez dyskusji jako zgola niemożliwe.

Naiwność polityki Becka zarysowuje się bardzo wyraźnie na tle sprawy słowackiej. Sanacja popierała od dawna separatyzm słowacki ułatwiając w ten sposób hitlerowcom akcję rozsadzania państwowości czechosłowackiej. Beck ludzi się, że irredenta słowacka uważa Polskę za swego jedynego protektora, toteż stworzenie niezależnej Słowaczyny wzmocni jej stanowisko w Europie południowo-wschodniej i poprawi sytuację w stosunku do Niemiec. Tymczasem okazuje się, że partia Hlinkowców korzystała z poparcia rządu sanacyjnego prowadząc od dawna za jego plecami rozmowy z Berlinem i oferując tam pełną uległość włącznie do baz wojskowych wymierzonych wyłącznie przeciwko Polsce.

Wysługiwanie się sanacji agresywnym planom hitlerowskim w stosunku do Czechosłowacji nie miało i nie mogło mieć żadnych elementów korzystnych dla naszych interesów narodowych, a prowadziło tylko do pełnego otoczenia naszego kraju przez wroga i przyspieszało katastrofę wrześniową. Mający się wkrótce ukazać następny w tom „Tajnych archiwów Wilhelmstrasse”, obejmujący stosunki Rzeszy niemieckiej z mniejszymi państwami, a więc i z Polską, rzuci niewątpliwie dodatkowe światło na antynarodową politykę rządu sanacyjnego w tych czasach.

ZNACIE go chyba: taki złoty warszawski tygodnik, który ukazuje się dopiero od dwóch lat. Jest najmłodszym w kraju tygodnikiem kulturalnym — niemniej stał się już poważnym organem coraz skuteczniej oddziaływającym na coraz szerszy zakres spraw i zagadnień, związanych z naszą polityką kulturową. Złotini twierdzą, że jest pismem do oglądania, ale to nieprawda — jest po prostu pismem, które posiada dobrych grafików.

Nie było w ciągu ubiegłych dwóch lat ważniejszego wydawnictwa w naszej kulturze, które nie znalazłoby omówienia, naświetlenia — które nie doczekałoby się komentarza na łamach tego pisma. Bo żywotność „Przeglądu Kulturalnego”, którego setny numer ukazał się niedawno w sprzedaży — jego zdolność szybkiego reagowania na poszczególne zjawiska kultury, szerokie powiązanie z prowincjonalnymi ośrodkami kulturalnymi — to cenne zalety tego pisma. A żywotność, aktualność i szybkie reagowanie są cechami, których zbyt często brak naszym tygodnikom kulturalno-społecznym.

„Przegląd Kulturalny” jest organem Rady Kultury i Sztuki. Fakt ten określa postawę tego pisma, jego politykę redakcyjną, założenia i rolę, jaką odgrywa w życiu kulturalnym kraju.

Jako organ RKiS „Przegląd Kulturalny” jest transmisją wszystkich założeń postanowień Rady, które wytyczają politykę kulturalną naszego ludowego państwa. Te wytyczne i zalecenia mogą a nieraz nawet powinny podlegać dyskusji czy krytyce — niemniej jednak ich znajomość obowiązuje wszystkich bez wyjątku twórców Polski Ludowej.

W ciągu ubiegłych lat „Przegląd Kulturalny” zdołał skupić wokół siebie wielu wybitnych pisarzy, krytyków i publicystów nie tylko z najróżnorodniejszych dyscyplin artystycznych, lecz również o różnych poglądach. W „Przeglądzie” pisują także twórcy i publicyści katolicy. Jest przecież w naszej kulturze jeszcze sporo spraw, które domagają się dyskusji i konfrontacji dokonywanej przez ludzi o różnych zainteresowaniach i poglądach ale na płaszczyźnie postępowości i rzetelnego zrozumienia wszystkich słusznych przemian minionego dziesięciolecia.

Dlatego też przesyłamy Redakcji „Przeglądu Kulturalnego” z okazji setnego numeru pisma życzenia dalszych sukcesów w pracy.

T. P.

(Dokończenie ze str. 1)

chińskiego przedstawiając ten ostatni jako przedłużenie pierwszego. „Jedynolity front agresji chińskiej” — mówił Dulles — ciągnie się od Korei, na północ, aż po Indochiny, na południu. Rozejm w Korei, nawet o ile doprowadzi do politycznego uregulowania sytuacji w Korei, nie położą kresu naszym zainteresowaniom związanym z zachodnim Pacyfikiem”.

Trudno o lepszą wypowiedź gdy chodzi o wylumaczenie — i usprawiedliwienie — przeniesienia „macarthuryzmu” z Korei do Indochin. Dulles pozorował obawy przed bezpośrednią interwencją Chin w konflikcie indochińskim. „Istnieje ryzyko — stwierdzał — że, jak w Korei, Chiny wysła swa własne wojska do Indochin”. To hipotetyczne, lub po prostu wymagowane, ryzyko było tylko pretekstem do ostrzeżenia komunistów chińskich, że „taka agresja nie mogłaby zaspokoić bez poważnych konsekwencji”, które mogłyby nie być ograniczone do Indochin”.

Fakt, że Sekretarz Stanu, w swym przemówieniu w Saint Louis, powiedział również, iż o ile by konferencja koreańska przybrała zadowalający obrót, „rozszerzenie tych negocjacji na Indochiny będzie zależało wyłącznie od Chin”, oraz, że o ile Chiny tego zechcą, „koniec agresji i przywrócenie pokoju w Indochinach winny należeć do osiągnięć tej konferencji” — nie zmienił w niczym ogólnej tendencji jego przemówienia.

Zresztą amerykański Sekretarz Stanu musiał się liczyć z zdaniem aliantów Stanów Zjednoczonych — zbliżonym do tezy radziecko-chińskiej — że konferencja koreańska nie powinna się ograniczać do zbadania tego problemu, lecz wziąć pod uwagę również inne problemy azjatyckie, a mianowicie konflikt w Indochinach. Jak to stwierdzał 28 września 1953 „New York Times”, wspomniane przemówienie Dullesa poprzedziło „brzemiennej w skutki próbie jedności aliantów zarówno w Europie jak w Azji”, a w Waszyngtonie wykrywano „nowe symptomy neutralizmu w Europie” i oporu stawianego przez Europejczyków w stosunku do polityki amerykańskiej.

Amerykani czuli się i bez tego dosyć „zakłopotani”, gdyż — jak to określił Walter Lipman — tym, który obecnie ciągle mówi „nie”

okazuje się być nie Molotow, lecz właśnie Dulles. („New York Herald Tribune”, 15 września 1953).

„MACARTHURYZM” W INDOCHINACH

okazuje się być nie Molotow, lecz właśnie Dulles. („New York Herald Tribune”, 15 września 1953).

Zawarcie układu francusko - amerykańskiego, który zapewnił Francji dodatkową pomoc w wysokości 385 milionów dolarów, ujawnia do jakiego stopnia rząd USA brał pod uwagę możliwość negocjowania pokoju w Indochinach. Komunikat oficjalny, ogłoszony 30 września 1953 w Paryżu, zawierał treść wykraczającą daleko poza normalny układ finansowy. Ta dodatkowa pomoc została przyznana Francji nie tylko w celu dalszego prowadzenia wojny w Indochinach, ale i w celu jej wygrania z bronią w ręku. Istotnie, rząd francuski zobowiązał się, że „jest zdecydowany” — jak się eufemistycznie wyrażał komunikat — do „uczynienia wszystkich wysiłków w celu rozproszenia i zniszczenia regularnych sił wojskowych wroga w Indochinach”. Komunikat podawał w zakończeniu: „Przedmiotem pomocy amerykańskiej jest umożliwienie osiągnięcia tych celów jak najszybciej i jak najszybciej”.

Otóż Stany Zjednoczone dążą obecnie w Indochinach nie tylko do zabezpieczenia swych pozycji strategicznych i dostępu do surowców Azji południowo - wschodniej; chodzi im o bazy do przyszłej akcji przeciwko Chinom Ludowym; chodzi im o permanentne trwanie konfliktu w Indochinach, który można by w odpowiedniej chwili wykorzystywać do rozpoczęcia tej akcji. Inaczej mówiąc, polityka amerykańska w Indochinach wykracza poza ramy wojny w Wietnamie. Czerpie swe inspiracje z programu wyborczego partii republikańskiej. Pozostawia daleko za sobą stadium „zahamowania” komunizmu, którego wyrazem była „doktryna Trumana”, i dąży do zastosowania w Chinach „odepchnięcia”, zawarte w „doktrynie Eisenhowera”. Dokładne pojęcie o tym, czym miała być ta akcja amerykańska, daje nam przemówienie Dullesa z 14 stycznia, w którym — mówiąc o zasadach „nowej polityki wojskowej” — sformułował on, to co mo-

żna określić jako doktrynę „wojny globalnej”. Zasadniczą treścią tej doktryny było założenie, że nie będzie już wojny „zlokalizowanej” — jak na przykład wojna w Korei, Stany Zjednoczone bowiem postanowiły rozpocząć kroki wojenne tam, gdzie to uznają za korzystne, przeciwko wybranemu przez nie przeciwnikowi i za pomocą broni, jakie uznają za stosowne użyć, nie wyłączając atomowych, i bez konsultowania swych aliantów.

Foster Dulles określił tę strategię mianem „odwetu masowego i natchymistawego”. Był to więc „macarthuryzm” czystej wody. (Generał Mc Arthur nie innego nie miał na myśli, gdy domagał się bombardowania „sanktuarium” mandżurskiego). Taką „globalną” strategią, która pozostawiała Stanom Zjednoczonym swobodę w rozpoczęciu konfliktu na skalę światową z okazji pierwszego lepszego konfliktu lokalnego, otwierała szeroko wrota przed możliwością wojny przeciwko Chinom. Strategia tak zwana „oczyszczająca przedpole” — oparta o formułę Eisenhowera: „pozostawmy Azjatów walce przeciwko Azjatów” — została przekroczone. Zresztą strategia ta nawiązywała głównie do wyborczej demagogii partii republikańskiej, zdającej sobie sprawę z niechęci amerykańskiej opinii publicznej do wszelkiej awantury zagranicznej, która połączona by z sobą wysyłanie „nasyżących chłopców” za morze. Republikanom głoszącym program „dynamicznej” polityki i „aktywizmu” skłaniającego się wyraźnie ku akcji wojskowej przeciwko Chinom komunistycznym, zależało oczywiście na przekonaniu narodu amerykańskiego, że jeśli nastąpiłaby wojna w Azji, Stany Zjednoczone poważyłyby ją za pomocą azjatyckich żołnierzy.

Nie jest przypadkiem, że zmiana polityki amerykańskiej w stosunku do Indochin zbiegła się z objęciem funkcji szefa państwa przez admirała Radforda i stanowieniem senatora Knowlanda na czele partii republikańskiej. Admirał Radford, od dawna zwolennik koncepcji generała Mc Arthura, zawsze zalecał rozszerzenie wojny w Korei na terytorium Chin właści-

wych i wielokrotnie nalegał na bombardowanie miast w Mandżurii. Senator zaś Knowland znany był jako przywódca tych członków Kongresu, którzy interesowali się głównie Azją i jako jeden z najaktywniejszych działaczy tak zwanego „China lobby”, to jest grupy polityków i finansistów, dla których problem Chin gorzej nad wszystkimi innymi w polityce zagranicznej Stanów. Zdaniem tych ludzi i ich popleczników w Kongresie, w Departamencie Stanu, w kołach Białego Domu — problem bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych można rozwiązać wyłącznie w Chinach. Inaczej mówiąc, nie chodzi o „obronę” Japonii, Korei Południowej, Filipin, Formozy, Indochin, czy Azji południowo - wschodniej. Chodzi o zniszczenie ustroju ludowo-demokratycznego w Chinach, o starcie z mapy Azji olbrzymiego czerwonego imperium.

Każda nowa polityka Stanów Zjednoczonych w Indochinach jest funkcją ich polityki azjatyckiej, której głównym zadaniem jest zniszczenie Chin komunistycznych. Jeśli Amerykanie chcą przejąć od Francji kierownictwo operacji militarnych i politycznych w Wietnamie — to nie po to, aby uniknąć czegoś, co jest określane w Kongresie i w prasie amerykańskiej jako „azjatyckie Monachium”, lecz aby uniemożliwić wszelkie rokowania z Wiet-Minhem i przerzucić wojnę ku Chinom.

Powyższe powinno wystarczyć do zrozumienia obecnej polityki Stanów Zjednoczonych w stosunku do Indochin, poprzez pozorne sprzeczności, fluktuacje i ciągłe „zmiany” dezorientujące obserwatora zagranicznego. Dyplomacja Departamentu Stanu, całkowicie zaangażowana — w Europie i w Azji — na rzecz „krucjaty antykomunistycznej”, musi działać na liniach zrywkowych ze względu na to, że nie zawsze popierają ją aliansi Stanów. Ci ostatni — przynajmniej chwilowo — dostosowują się do nastrojów odprężenia, podczas gdy dyplomacja amerykańska gra ciągle kartę perma-

nentnego napłęcia w stosunkach pomiędzy „wolnym światem” a „światem komunistycznym”. Dlatego też Stany Zjednoczone usiłują podtrzymać i wykorzystywać wojnę w Indochinach.

Podczas konferencji w Berlinie Amerykanie przyjęli analogiczną postawę, zgodną z formalną deklaracją złożoną jakoby przez Dullesa ministrowi Molotowowi; a mianowicie Stany Zjednoczone gotowe byłyby raczej przyjąć walkę, niż pogodzić się z przejściem Indochin w ręce Wiet-Minhu. Decyzją konferencji berlińskiej o zwolnieniu nowej konferencji do Genewy, w celu omówienia problemu indochińskiego, została przyjęta w Stanach jako „azjatyckie Monachium”.

Od tej chwili wszystkie wysiłki dyplomacji amerykańskiej dążyły do uniemożliwienia obrad konferencji genewskiej w obawie, że obrady te mogły doprowadzić do pokoju w Indochinach. Na początku kwietnia br. bracia Alsup przyjęli z uznaniem przemówienie Dullesa w „Overseas Presse Club”. Sekretarz Stanu oświadczył wówczas, że Stany Zjednoczone zobowiązały się do udziału we „wspólnej akcji” w Indochinach. Dulles dodał przy tym ostrzeżenie, że taka akcja mogłaby „połączoną z sobą poważne ryzyko”. To przemówienie, zdaniem wspomnianych komentatorów „New York Herald Tribune”, miało „usunąć grunt spod nóg zwolenników uspokojenia w Paryżu, gdyż groźba interwencji amerykańskiej w Indochinach skłoniłaby Chińczyków i Rosjan do opuszczenia Ho Szji Mina”.

W ramach swych wysiłków zmierzających do sabotowania konferencji genewskiej Dulles chciał wywołać wojskową interwencję Stanów Zjednoczonych w Indochinach, nadając jej charakter wspólnej akcji sojuszników, skierowanej przeciwko Chinom.

Powstaje zatem pytanie, co by się działo dzisiaj na świecie, gdyby rząd brytyjski nie zahamował w porę — kategorycznie odmawiając przyłączenia się do „wspólnej akcji” — projektowanej przez Dullesa przeciwko Chinom. Niebezpieczeństwo nie zostało jednak całkowicie zażegnane. Ilekroć Stany Zjednoczone były zmuszone się wycofać, ze względu na nieprzychylną dla ich polityki reakcję aliantów, czyniły to tylko po to, aby powrócić później do tej samej koncepcji, lepiej przygotowani, innymi meto-

dami i w bardziej odpowiednich okolicznościach. Samo zebranie się konferencji genewskiej jest porażką dyplomatyczną Stanów Zjednoczonych. Od otwarcia jej obrad, jak to przyznaje 16 maja „New York Times” Foster Dulles został usunięty na drugi plan, panowanie bowiem nad sytuacją wymknęło się z rąk amerykańskich. Zdaniem tego dziennika rząd Stanów został zmuszony do „szukania nowego punktu wyjścia”. Ten „nowy punkt wyjścia” to są plany opracowane w Waszyngtonie w przewidywaniu fiaska konferencji. Konferencja bowiem interesowała Amerykanów tylko z punktu widzenia nieo-ograniczenia w Genewie żadnych konkretnych rezultatów, na co można było liczyć, skoro przedstawiciele państw indochińskich (to jest Wietnam, Laosu i Kambodży) mogli, będąc „niepodlegli”, odegrać rolę analogiczną do tej, którą spełnia Li Syn-man w Korei.

Wczorajsi izolacjoniści amerykańscy — a wniosek ten wynika z analizy całej polityki Stanów i trzeba o nim stale pamiętać — obawiają się przede wszystkim izolacji. Jest bardzo wątpliwe, aby ośmielili się rzucić sami w awanturę wojenną, która mogłaby ich wciągnąć w konflikt na skalę światową, bez poparcia materialnego i moralnego ze strony aliantów. Na tym polega główny atut Europy w toczącej się dramatycznej i pozornie nierównej rozgrywce.

E. N. DZELPEY

16 kwietnia 1954 wiceprez. Nixon oświadczył na zebraniu naczelnych redaktorów dzienników amerykańskich, że rząd Eisenhowera zamierza posłać wojska do Indochin „na wypadek gdyby Francja wycofała się z walki”. Potwierdził to rzecznik Departamentu Stanu, świadcząc przedstawicielom prasy, że wyowiedz Nixon'a jest zgodna z generalną linią polityczną przyjętą przez Waszyngton w stosunku do Indochin.

DOŚWIADCZENIA I POSTULATY

CYFRY nie zawsze są obiektywnymi informatorami. Szczególnie te, jakimi naszpikowane są sprawozdania z działalności terenowych organów kultury. Ich wymowa, opierająca się na suchych wycieczkach placówek, zestawieniach i porównaniach imprez i frekwencji, nie odzwierciedla w pełni wszystkich zróżnicowań. Te „liczbowe raporty kultury” nie ilustrują w sposób wolny od niedomówień tego wielkiego, jakim jest stopień zaawansowania kulturalnego naszego społeczeństwa w ostatnim roku dziesięciolecia Polski Ludowej, nie obrazuje tak precyzyjnie, jakbyśmy tego pragnęli, stopnia i zakresu upowszechnienia kultury w naszym kraju.

Niemniej spróbujemy rozpocząć tym niezbyt precyzyjnym środkiem flustrowania zjawisk kulturalnych: zaczniemy od cyfr.

16 MILIONÓW ludzi — to w przeliczeniu na ludność Polski więcej niż połowa wszystkich obywateli. — A tyle właśnie widzów ogląda rocznie same tylko przedstawienia teatralne, grane na porzucanych po całym kraju scenach amatorskich. Jeśli do tego dodać uczestników ogromnej ilości innych imprez kulturalnych, jak muzyczne, taneczno-śpiewacze, rozrywkowe itp. — urodnie nieprawdopodobna na pozór liczba przewyższająca parokrotnie całą ludność naszego kraju.

Powyższe przytoczono tu nie dla samego faktu wykazania wzrostu poziomu kulturalnego społeczeństwa. Taka metoda byłaby niesłuszna, nie uwzględnia ona bo-

wiem wszystkich funkcji jakie spełnia ruch amatorski, oraz nie obrazuje wszystkich jego uwarunkowań, niedociągnięć — słowem — nie uwzględnia całej jego specyfiki, która w każdym regionie Polski jest inna.

Chodzi o co innego: chodzi o fakt, że ruch amatorski — z uwagi na niespotykany dotąd zasięg oddziaływania, kształtowania opinii, upodobań czy zamikowań — stał się w naszym życiu społeczno-kulturalnym zbyt ważnym problemem kulturowym, kulturotwórczym — aby inicjatywę decydowania o kierunku jego rozwoju pozostawiać urzędnikom poszczególnych wydziałów kultury. Byłoby to — jak również dalsze pozostawianie bez wyjaśnienia tego „umownego” podziału na sztukę amatorską i sztukę zawodową — błądem politycznym, wykraczającym poza zakres spraw i zagadnień kultury.

USTALIŁI się u nas jakiś niepisany podział na dwa rodzaje twórczości: twórczość zawodową i amatorską ludową. Podział ten jak najzupełniej niesłuszny i sprzeczny z podstawowym prawem jednorodności kultury. Oczywiście w zagadnieniu tym zachodzą pewne różnice, ale różnice nie tego rodzaju, które by ten podział sankcjonowały: zachodzą one nie w samej istocie sztuki lecz w jej funkcjach, formach. — Jeśli może tu być mowa o jakimkolwiek podziale, to tylko o takim, który wyraża jedynie te stopnia trudności poszczególnych sztuk. — Inne wymagania stawiamy zawodowemu zespołowi symfonicznemu czy teatralnemu w Warszawie czy Łodzi, a czego innego wymagamy od ze-

społu świetlicowego — dajmy na to — huty Baildon.

Tego, co powyżej określono jako „stopień trudności” sztuki nie wolno utożsamiać z jakąś niższą rangą twórczości, twórczością nieudaną czyli z tym, co popularnie nazywamy kiczem. — Wraz ze wzrostem zakresu oddziaływania rośnie odpowiedzialność za odbiorcę, tego nowego konsumenta sztuki, który często na występie „Artosu” pierwszy raz zetknął się ze sztuką. I stąd właśnie wyrasta kapitalna sprawa odpowiedzialności nie tylko twórców ale wszystkich ludzi kultury: odpowiedzialność za człowieka. A tego właśnie człowieka tak łatwo można zniechęcić i wręcz zubożyć jego sposób widzenia, odczuwania świata i jego spraw. Dzieje się to wtedy, kiedy w obrazie artystycznym człowiek nie odnajduje siebie, kiedy — przełożony to na język plastyczny — Centralne Biuro Wystaw Artystycznych wysyła w tzw. teren, na wieś, do świetlic fabrycznych, do tego tak bardzo jeszcze prymitywnego odbiorcy, kiedy tam właśnie CBWA wysyła wystawy objazdowe obrazów odczuwanych w Gdańsku, Krakowie czy w Warszawie.

Przyjęło się w naszej publicystyce, że każdy kto pisze o kulturze nie pomija milczeniem kwintowej XI sesji Rady Kultury i Sztuki. Nic zresztą dziwnego, sesja ta była przecież zbyt ważkim wydarzeniem w życiu kulturalnym kraju. Rozpoczęła ona szeroką dyskusję nad całokształtem zagadnień — przede wszystkim warsztatowych — naszej sztuki. Tę właśnie dyskusję podjęły środowiska twórcze i do dzisiaj ją kontynuują. Polemika ta bywała źle rozumiana, niejedną z dyskusyj nie docenił praw rozwojowych, jakim w naszej epoce podlegają również sprawy kultury. Ale tego nie można było się ustrzec, chodziło przecież o swobodną wymianę zdań. — Jest dobrze — powiedział Antoni Słonimski na ostatnim zjeździe literatów — znowu kłócimy się o sztukę!

Tworzyć dzieła lepsze, pełniejsze, prawdziwsze, to cel XI sesji Rady Kultury i Sztuki. I to założenie jest bodajże najbardziej istotne dla dalszego właściwego rozwoju ruchu amatorskiego. Nie chodzi o to, by twórcy pisali wyłącznie dla poszczególnych zespołów — jak tego obawiał się na stalinogrodzkiej XII sesji Rady Kultury i Sztuki Kazimierz Serocki — chociaż i to może się zdarzyć i kto wie czy niejednemu kompozytorowi nie wyszłoby to na dobre. Chodzi o to, by twórcy w swojej pracy szerzej uwzględniali potrzeby i specyfikę poszczególnych regionów, żeby tworzyli z tym głębokim przekonaniem, że tam właśnie ich działalność jest bardziej niż gdziekolwiek indziej potrzebna.

Doświadczenia ostatnich dwu lat, jakie dzieła nas do szczęśliwej narady działaczy kultury i sztuki, wyraźnie mówią, że administrowanie ruchem amatorskim — jak zresztą każdą działalnością artystyczną — przynosi nieobliczalne szkody. Jeśli więc chcemy oddziaływać na ten ruch a nie zapominać, że ołbrzymia większość społeczeństwa tam właśnie czepnie swe wrażenia artystyczne — to tylko przez twórców zorientowanych w specyfice poszczególnych regionów i umiejących swe doświadczenie właściwie wykorzystywać.

OSRODKIEM życia kulturalnego na wsi jest rzadziej dom kultury, częściej świetlica. Tym, jaka jest ta świetlica, kto i jak nią kieruje — uwarunkowana jest skuteczność ofensywy kultury na tym najtrudniejszym froncie zdobywania i przekonywania człowieka do tego, co w naszym życiu sztuczne i dobre, do tego, co życie człowieka ustawi w jakichś szerszych wymiarach. Najtrudniejszym aspektem tego zagadnienia są ludzie — organizatorzy życia świetlicowego. A w tych najbardziej wysuniętych placówkach jeszcze często źle się dzieje.

W naszych wsiach, pozbawionych jakichkolwiek wartościowszych rozrywek, szerzy się nuda. Stąd — dobra świetlica, gdzie kierownik właściwie rozumie swoje obowiązki wychowawcze, przyciąga atrakcyjnością dobrze postawionej pracy artystycznej — kulturalnej, chęcią zobaczenia czegoś nowego, możliwości zdobycia wiedzy. Takich świetlic jest na szczęście coraz więcej. Ale są też takie świetlice, gdzie młodzież przyciągana jest atrakcyjnością nieraz zupełnie paskiego wyzycia się, połączonego nieraz z wódką, erotyzmem itd. Takie świetlice powodują narastanie niewłaściwych konfliktów, utrudniając nie tylko pracę kulturalną, ale — co ważniejsze — utwierdzają ludzi w starych, często reakcyjnych przekonaniach. Oto przykład:

W Rajczy, niedużej miejscowości koło Żywca, miejscowe matki zbierały — czy też chciały zbierać — podpisy pod petycją do władz z prośbą o zamknięcie świetlicy. Dlaczego? — Po prostu źle zorganizowana świetlica zamiast zachęcać — odciągała młodzież od nauki. Kierownik tej placówki, stykając się codziennie z młodzieżą nie zrobił nic, by ukroić chuligańskie wybrki niektórych ich przedstawicieli. Zapytany na czym polega działalność jego świetlicy, odpowiada:

— No cóż, uprawiamy w świetlicy wszystkie formy (!).

Jakie to były formy, tego się nie dowiedziałem, ale faktem jest, że poszła po wsi fama-płotka o zabawach przy przyćmionym świetle

itd. — Oczywiście matki z Rajczy źle zrozumiały zagadnienie. Nie świetlica jest tutaj winna. Świetlica, dobrze zorganizowana świetlica mogła im w kłopotach wychowawczych tylko pomóc: winien jest tutaj człowiek, który świetlicę niewłaściwie prowadzi.

Podobnych przykładów można by naliczyć — niestety — więcej. Toż jeśli w rozmowach z terenowymi działaczami kulturalnymi słyszymy nieraz zdanie, że tu i ówdzie „świecą” nieraz ludzie, którzy usiłują zniżyć dorobek świetlicy wiejskiej — to nie należy ulegać sugestiom, lecz trzeba zagadnienie to rozpatrzyć szerzej. To prawda, że spotykamy jeszcze gdzieś indziej ludzi niechętnych, a nawet wrogich, naszym nowym założeniom kulturalnym. Ale jest także faktem dowiedzionym, że są ludzie, którzy krytykują działalność niektórych źle funkcjonujących świetlic wiejskich, z głębokim przekonaniem o słuszności takiego postępowania, mając na uwadze troskę o prawidłowy ich rozwój. Trzeba zatem rozróżnić k to przeciwko komu występuje: przeciwko instytucji świetlicy wiejskiej czy też przeciwko wypaczeniu pracy świetlicowej, przeciw człowiekowi, którego postawa moralno-ideowa przeczy nieraz podstawowemu założeniu pracy kulturalno-wychowawczej.

WIELU twórców a nawet działaczy kulturalnych traktuje jeszcze ruch amatorski jako zło konieczne. Sadzą, że należy go popierać, interesować się nim, tworzyć dla niego — bo „taka jest polityka”. Oczywiście nikt tego nie mógł głosić, niemniej amatorów traktuje się często po macoszemu. Fakt ten ma już swoje poważne predecydy: są ludzie, którzy tworzą tylko dla teatrów zawodowych, są i tacy, którzy piszą tylko dla amatorów. Pomiędzy tymi ludźmi zachodzą zasadnicze różnice w talencie i w rzetelności artystycznego tworzenia. Prowadzi to do tego, że ów ostawiony „schematyzm cyniczny” z nierozłącznym lakiernictwem zadowolony się właśnie najbardziej w ruchu amatorskim i — z uwagi na jego zasięg — tam właśnie jest najgroźniejszy. Sprawy te bardzo trafnie zreferował na XII sesji wice-minister Jan Wilczek.

Zagadnienie repertuaru na obecnym etapie ruchu amatorskiego nabiera szczególnego znaczenia. Czas, by sprawą tą zajęli się serio twórcy z prawdziwego zdarzenia. Ileż to energii i entuzjazmu marnuje się na takie jawne nonsensy, w jakie obfitują różne „przeróbki” i „opracowania” z dopisywanym tzw. wydźwiękiem.

Oczywiście nie całą twórczość amatorską cechuje podobna detologia, prowadząca wręcz do humorystycznych nieporozumień. Powyższe wypadki są jaskrawym przy-

kładem złej roboty i dlatego na leży je sygnalizować.

Repertuar przeznaczony dla zespołów amatorskich grzeszy jednak nudą. Stąd niektóre zespoły w słusznym dążeniu do atrakcyjności wpadają w to, przed czym najbardziej pragną się ustrzec — w banał. Stąd to pojawiają się takie sztuki jak „Panna rekrutem” itp. Ale nie dziwny się temu, skoro widzowie wychodzą z niejedynej współczesnej sztuki granej przez amatorów, z bolesną skargą: „panie, ci komunikacji to do brzy ludzi, nie robią nam krzywdy — ale za nudzą nas na śmierć”. — Zapamiętajcie — autorowie sztuk współczesnych — tę anegdotę, to ważne. Bo jak ktoś powiedział w Krośnie wiceministrowi Wilczkowi: „jak sztuki są wesołe, to mogą nawet być polityczne...”

Wiceminister Wilczek słusznie wystąpił przeciwko różnorodnym sztucznościom w rodzaju „Wesole marynarskiej wiary”. Ale wydaje się rzeczą niesłuszną zażyczenie do ich rzędu takich sztuk jak np. „Ocalenie Jakuba” Zawieyskiego. Zestawienie to nie jest zbyt szczęśliwe (jak zresztą każde mechaniczne porównanie). Zawieyski jest niewątpliwie jednym z naszych najwybitniejszych twórców dramatycznych. Jest pisarzem katolikiem i twórczość jego inspirowana jest przez ten właśnie światopogląd. Fakt ten ma swoje poważne konsekwencje i niewątpliwie skądinąd słuszna krytyka twórczości Zawieyskiego winna operować kryterium ideowości a nie kryterium mechanicznego porównania.

KRYTYCZNY ton tego artykułu wyrasta z troski o sprawę istotnie ważną. Tak się składa, że o pozytywach upowszechnienia kultury w naszym społeczeństwie wiemy więcej niż o brakach i słabościach. Te pozytywne są łatwo sprawdzić. Dostrzegamy je wszędzie: słuchając występu „Mazowsza”, imprezy świetlicowej zespołu z Koniakowa na Śląsku, czy też sprawdzając karty czytelnictwa na wsi białostockiej. Pozytywne te odczytuje się przede wszystkim z twarzy i uśmiechów ludzi, dla których słowo „kultura” było do niedawna pojęciem aż nazbyt abstrakcyjnym. Ten wielki awans kulturalny naszego społeczeństwa tkwi korzeniami w całokształcie przeobrażeń Polski Ludowej w ciągu ubiegłych dziesięciu lat. Lecz ma on też swoje braki i niedociągnięcia.

Nieporadność ludzi — nie tylko ich zła wola — powoduje często wypaczenia, na które trzeba otwarcie wskazywać, trzeba je usuwać, prostować. Przecież wszystkim nam zależy, żeby było jeszcze lepiej, jeszcze jaśniejsze i radośniejsze. I dlatego, by usunąć zło, trzeba odświeżać nie tylko jego skutki, ale również jego przyczyny.



Zdjęcie przedstawia jeden z najbardziej znanych kościołów w Lipsku pod wezwaniem św. Tomasza, w którym organistami byli wybitni muzycy i kompozytorzy — Jan Hermann Schein, Jan Hiller, a przede wszystkim Jan Sebastian Bach. Tutaj też znajduje się jego grób.

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

WSPOMNIENIE Z LIPSKA

strasse. Podczas Targów jest to prawie niemożliwością. Wystawy sklepowe są bogate, pełne najrozmaitszych towarów. Uderza w oczy bogactwo asortymentów, gatunków, pomysłowość ich wykonania. Trudno doprawdy nie zatrzymać się przed wystawami z różnorodnym sprzętem sportowym i wycieczkowym, z przeróżnymi wyrobami z gumy, elektrycznymi maszynami do szycia, mechanicznymi zabawkami dla dzieci, dziwnymi narzędziami gospodarczymi, których ilość, pomysłowość i precyzja może każdego wprowadzić w zdumienie.

Koledzy niemieccy oprowadzając mnie po mieście podkreślali, że ta różnorodność asortymentu towarów jest wynikiem wprowadzonego od roku przez rząd NRD „nowego kursu”. Nowy kurs polega na ożywieniu i wzroście produkcji przemysłu konsumpcyjnego i udostępnianiu ludziom pracy znacznie większych ilości towarów przy zastosowaniu poważnej obniżki cen.

Targi Lipskie mają więc być jeszcze jednym świadectwem rozwoju gospodarczego NRD. Problem ten interesuje specjalnie polityków i ekonomistów, Republiki Federalnej, która boryka się z „nadmianem” 2,5 miliona bezrobotnych i, jak można przypuszczać, ma wszelkie dane ku temu, aby podwyższyć ilość tej — mówiąc słowami Marksa — „rezerwowej armii pracy”. Rozwiązanie sprawy bezrobocia nie jest tylko jednym problemem polityków z kręgu Adenauera. Okazuje się, że zbyt zbliżenie Niemiec zachodnich (czytaj — zależność polityczną - gospodarczą) do Stanów Zjednoczonych grozi, podobnie jak to spotyka się w lecnicznictwie, zarażeniem pacjenta. W Stanach Zjednoczonych notuje

się oznaki narastającego kryzysu gospodarczego, np. w marcu i kwietniu br. potencjał przemysłu stalowego był wykorzystany tylko w 68 proc. Podobne objawy kryzysu przenoszą się z wolna na satelity Stanów Zjednoczonych, między innymi na Niemcy zachodnie. W finansowo - gospodarczych sferach Republiki Federalnej panuje poważne zaniepokojenie. Potęgowane jest ono alarmującymi wieściami o trudnościach zachodnio-niemieckiego przemysłu węglowego (nadmierne zapasy węgla i koksu w hałdach), o słabnącym napływie kadr do górnictwa, niskiej wydajności górników niemieckich (w r. 1938 — 1916 kg na jednego robotnika dolowego, w r. 1935 tylko 1458 kg), o braku zamówień w stoczniach okrętowych (14 pustych pochylni), o obniżaniu się obrotów handlu detalicznego i spadku produkcji dziennej w dziale dóbr konsumpcyjnych. Są to poważne objawy choroby ustroju i żadna pomoc, pchana w ten bezdenny worek nie jest zdolna powstrzymać kryzysu. Z tych więc względów wielu przedsiębiorców z Niemiec zachodnich — wbrew Adenauerowi, który sprzeciwia się uparcie nawiązaniu szerszych stosunków gospodarczo - kulturalnych z Niemiecką Republiką Demokratyczną, nie lekając się nawet „zarażenia się” rządowi bońskiemu i Amerykanom — chce wziąć udział w Targach Lipskich. Targi są najlepszą okazją do nawiązania ścisłego kontaktu gospodarczego między dwiema rozdartymi częściami Niemiec. Możliwe też, że Targi Lipskie otworzą szerzej oczy tym i innym ludziom z Zachodu, którzy mając wypaczone pojęcie o tzw. „komunistycznej gospodarce”, opar-

te o „autorytatywne” (czytaj — sprecyzowane) wiadomości z prasy i „Freies Europa” mogą naocznie przekonać się o właściwym rozwoju gospodarczym państw Wschodu. Dlatego też tak duże znaczenie przywiązuje się do Targów Lipskich, gdyż są one jeszcze jednym czynnikiem przemawiającym za pokojową współpracą narodów a przeciw wojnie.

KIRCHENTAG W LIPSKU

PRZYJAZD delegacji polskiej do Lipska wypadł już po zakończeniu wielkich uroczystości związanych z Dniem Kościoła Ewangelickiego, mimo to miasto pozostało jeszcze pod wrażeniem obchodów i konferencji Kirchentagu. Na słupach i tablicach ogłoszeniowych wisiały plakaty, informujące o rozpoczęciu obrad. Motto Dnia Kościoła brzmiało: „Weselcie się nadzieją” (Seid fröhlich in Hoffnung). Nadzieja pokoju i zjednoczenia Niemiec przyswieblała tym wszystkim, którzy z całych Niemiec przybyli do Lipska. W czterodniowych obradach, które trwały od 7 do 11 lipca br. brało udział przeszło 60 tys. duchownych i świeckich wyznawców kościoła ewangelickiego w NRD i w Niemczech zachodnich oraz około 300 przedstawicieli z innych krajów. Honorowymi gośćmi Zjazdu byli duchowni katolicy, reprezentujący jedyny katolicki okręg w NRD, Eichsfeld, położony nad linią demarkacyjną z Niemcami zachodnimi. Zjazd zakończyli swą obecnością przedstawiciele władz NRD z przewodniczącym Izby Ludowej dr Dieckmannem i wicepremierem i przewodniczącym CDU — Ottonem Nuschke na czele. Obecność wielu wybitnych osób ze strony władz państwowych, kościoła ewangelickiego,

organizacji politycznych i społecznych świadczyła o wielkim znaczeniu Dnia Kościoła. Dlatego też warto zapoznać się z zadaniami, jakie miał spełniać Kirchentag oraz z problematyką jego obrad.

Pierwszy Kirchentag zwołany przez władze Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego odbył się w r. 1949 w Hannoverze. Treścią obrad Zjazdu było omówienie współpracy ewangelickich chrześcijan w celu rozwiązania spraw najbardziej żywotnych dla ewangelistów mieszkających z obu stron linii demarkacyjnej.

Krótko a bardzo wyraziście ujął tę sprawę pastor Heinrich Grüber, który z racji Dnia Kościoła w Lipsku zamieszkił w centralnym organie wschodniej CDU, w „Neue Zeit”, ciekawy artykuł pt. „Kościół w drodze” (Die Kirche unterwegs). Dr Grüber wyraził się o Zjeździe tak: „Jest on (Kirchentag — przyp. mój Z. C.) zarazem spotkaniem się Niemców, z których wszyscy wprawdzie mówią językiem Marcina Lutera, ale zachodzi niebezpieczeństwo, że nie wszyscy będą się mogli w tym języku porozumieć”. I dalej pisze dr Grüber: „My, chrześcijanie - ewangelicy nie wzięliśmy udziału w zimnej wojnie, w którą państwa chciały nas wciągnąć. Wiemy bowiem, że zimna wojna kryje w sobie zawsze niebezpieczeństwo wojny gorącej i przygotowuje jej drogę. My zaś nie tylko potępiamy nową wojnę, ale się jej z całych sił sprzeciwiamy”.

Sprawa utrzymania pokoju i jedności Niemiec była niewątpliwie

(Dokończenie na str. 7)

DZIS I JUTRO

3

SCEPTYK CZYLI OPOWIEŚĆ SPORTOWA

BYLEM potężnie zmęczony — mówił Bogdan. — Zebranie redakcji przeciągnęło się do wieczora i czulem, że tylko porządny łyk kawy może utrzymać mnie na nogach. Wróciłem właśnie z trzydniowego reportażu — sam wiesz najlepiej, co to znaczy: niedospane noce, natłok wrażeń rozsądających głowę, dym z niezliczonych papierosów i gadanie, gadanie z tyloma ludźmi, z których każdy pokazuje ci jakiś ułamek prawdy subiektywnej i właśnie ułamekwo pojętej, a ty męczysz się, żeby tę prawdę całą, jedną odnaleźć.

Kiwnąłem ze zrozumieniem głową. — Zmęczenie, niedospanie i równocześnie chęć uchwycenia tego, co przeżyłem właśnie teraz, zaraz, na świeżo, mężczyźnie. A w dodatku to zebranie... No, rozumiesz, trzeba się było podtrzymać. Poszedłem na Stare Miasto, chciałem już o tej porze. W oknach zapalały się pierwsze światła, na Piwniej sennie gruchały gołębie. Pachniało jesienią i świeżym tymkiem. Zmęczony siedziałem nie patrząc przed siebie, liczyłem raczej płyty chodnika, starając się z rytmu kroków odtworzyć wrażenia ostatnich dni. Nie pamiętam nawet, kiedy znalazłem się w „Krokodylu” — wiem tylko, że długo czekałem na kawę. Ludzi było sporo, przygrywał fortepian, na płycie stolika miękko układał się dym z papierosa. Po raz pierwszy od trzech dni poczułem się spokojniejszy, myśli zaczęły tworzyć logiczne szeregi i już wiedziałem, jak formułuję wiersze mojego artykułu. To zresztą nie przeszkadzało mi rozglądać się po sali. Pochylone nad stolikami grupki rozprawiły półgłosem, pianista wybijał rytm jakiejś znanej melodii, w expresse zsumiała kawa. I właśnie wtedy zauważyłem Baškę.

Musiła już od dołu dawna patrzeć na mnie, gdyż odpowiedziała uśmiechem, przywracającym zmienionej twarzy dawny, dziewczęcy wygląd. — „Barbara!” — zawołałem, wstając od stolika. Podniosła się równocześnie — uściskaliśmy się serdecznie na środku sali. — „Chodź do mojego stolika” — ciągnęła ją za rękę, zdając sobie równocześnie sprawę, że nie wiem, ale to zupełnie nie wiem o niej nic poza tym, że nazywa się Barbara i że ostatni raz widziałem ją tu, na Starówce, w czasie powstania. — „Siadał, kochana, siadał!” — mówiłem przedko, usiłując przypomnieć sobie, jakże się ona nazywa. Nie! Nie mogłem — a może nie znalazłem jej nazwiska? Potem, gdy zaczęła mówić, coś, jakby mętny obraz formował się przed oczami liter... Zapalska? Zapalowska? Chyba coś wspólnego z zapalką, nie byłem jednak pewny. Tak mnie to zajęło, że tylko na pół słuchałem jej opowiadania. Mówiła dość szybko, nerwowo, ale chyba wyraźnie. Zresztą wiesz, jak wyglądają takie rozmowy. Dalekie miesiące rozpacz i walki kwitują się dwiema, trzema nazwami miast, jakimś nazwiskiem, niepewnym uśmiechem. Jej los był podobny tyłu innym — powstanie, obóz, powrót

do kraju, nowe życie, nowa praca. Dopiero gdy wspomniała, że pisuje w szczecińskim dzienniku — mówiłem ci, że mieszkała w Szczecinie? — zaczęłam słuchać uważnie. I uważnie popatrzyłam na nią. Miała w twarzy coś zastanawiająco poważnego, jakiś rys cierpienia, twarde, surowszy od reszty — może to były oczy, dziwnie rozgorączkowane a przecież poważne, może jakaś fałda przy mocno malowanych ustach? A może blizny? W każdym razie coś tam takiego było i zastanawiało. Zmieniła się przez te dziewięć lat — to pewne, jednakże nade wszystko w twarzy jej uderzało coś szczególnego, właśnie twardego, chłodnego.

— „Czekaj-no, Basiu!” — wręcałem w pewnej chwili. — „Pod jakim ty psujesz nazwiskiem? Bo twojego jakoś nie widziałem”. Rozumiesz, chciałem być chytry i narzeczcie przypomniałem sobie, jak się nazywa. — „Ja? Pisuję pod pseudonimem. Nie mogę podpisywać się nazwiskiem”. — Pochyliła się nad stolikiem i wyszeptowała z rozpaczą: — „Nasze nazwisko jest skompromitowane”. Potakiwałem głową, ale nagle zachciało mi się okropnie spać. Tak przerażał mnie, że omal nie ziewnąłem. — „No tak — myślałem — znam te rzeczy: okupacja, konspiracja, kompromitacja, lewe papiery itp. A może maż ją rzucił? Licho wie!”

Patrzyła mi w oczy tak znacząco, że poglądziłem jej rękę gestem pełnym współczucia. Lecz ta, wyobraź sobie, chwyciła tak mocno moją dłoń, że gdybym naprawdę zasypiał — a niewiele brakowało — skoczyłbym chyba na równe nogi. — „Więc rozumiesz mnie, Bogdan? Nareszcie, ty jeden rozumiesz”. — Oczywiście nic nie rozumiałem i czym prędzej postarałem się zmienić temat. Na szczęście przypomniałem sobie, że przecież miała brata, świetnego malca, jednego z tych wspaniałych chłopców staromiejskich, którzy dziesięcioletnim krokiem wmaszerowali w historię. I znowu pamiętałem tylko imię. — „A Janek?” — spytałem szybko. — „Co Janek?” — „Och, on tego nigdy nie pojmie”. — odpowiedziała schyliwszy głowę. — „Taki wstyd, taki wstyd...” — powtarzała cicho, puszczać moją rękę. Skuliła się, zapadła, jakby zmalala. Otrzeźwiałem. Senna znikła bez śladu, zacząłem grzebać we wspomnieniach wszystkich procesów i skandali, nigdzie jednak nie natrafiałem na ślad nazwiska, które miałyby coś wspólnego z zapalkami. — „Może to jakaś szczecińska afera” — myślałem, chcąc czym prędzej coś powiedzieć, obarczony jej zaufaniem jak tonący walizką ołowiu — „a może to nie groźnego?” Kochała go zawsze fanatycznie, zastępując rodziców i przyjaciół. Miała wtedy szesnaste lat i była uroczą. Dziewczęta w tym wieku przypominają mi zawsze podchorążych przed promocją, wiesz, tacy oficerowie z zasłoniętymi jeszcze gwiazdkami... Pamiętam, że była nierozłączną parą, a Baška ratowała chłopaka z niewiarogodnych przy-

god, w które pakował się przynajmniej dwa razy na tydzień. Chłopak! Przecież dzisiaj musi mieć już ze dwadzieścia lat!

— „A cóż on w tej chwili...” — spytałem wyczekująco. Pokręciła głową, nisko, beznadziejnie, ponuro. — „Ciągłe jeździ, ciągłe jeździ” — wyszeptowała. — „Więc jednak afera!” — pochylałem się w duchu — „ale jaka? Gdzież on może jeździć? Za granicę? Przemysł, kurier polityczny? Ależ człowieku, jest rok pięćdziesiąty trzeci, a mnie w głowie konspiracja. Co za nonsensy. To ten reportaż i trzy niedospane noce”. — Wzięłam ją znowu za rękę. — „Basiu, powiedz mi, jeśli możesz — a przecież znamy się nie od dzisiaj — szczerze: gdzie on jeździ?”

Wielkie nieba! Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby zamiast mojej osoby zobaczyła Janka wjeżdżającego na salę, i prawie krzyknęła: — „Jak to gdzie? Na tym swoim żuźlu!”

Musiłem się bardzo głośno rozśmiać, bo Bogdan uspokoił mnie dopiero po chwili. Sam zresztą też zaniósł się śmiechem i kaszlem.

— Czekaj — mówił — to dopiero początek. Wiesz, że nie czytuję prasy sportowej, ale ciągle się coś słyszy, sport przeszcasa się przez najszlachetniejszy korek obojętności, nie więc dziwnego, że „ten żuźel” oślnił mnie błyskawicą zrozumienia. Janek Zapala — naturalnie! Nasz świetny młody motocyklista, wschodząca

gwiazda sportu — jak się to ostatnio ciągle słyszy. Więc to był mój mały Janek ze Starówki!

— „Na żuźlu?” — spytałem. — „Na motocyklu?” — „Tak, na tym przekłętym wynalazku dla szaleńców” — prawie szlochała, a już na pewno miała łzy w oczach. — „Prawda, że o nim słyszałeś? On się naraża, zabija, kompromituje nasze nazwisko. Motocyklista!”

— „Czekaj, kochana, powolutku. Dlaczego: kompromituje?” — usiłowałem dojść przyczyny jej rozgorączczenia, ba, prawdziwej rozpacz. — „Jak to?” — obruszyła się. — „Czy to nie wstyd, żeby chłopak z przyzwoitej rodziny jeździł jak wariat w kółko po torze, łamał żebra i o niczym innym nie myślał? I tak ciągle...” Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy. Co innego raidowiec, rozumiesz, albo szosowiec, ale tak w kółko, po torze... — „Nasze nazwisko nie ma w żadnych tam herbarzach” — gorączkowała się Baška — „ale jesteście rodziną porządną, spokojną, ojciec, dziadek i wszyscy pracowali uczciwie na swój chleb, a ten nagle — motocyklista! I ty się dzwisz. Już pojmiam, że nie mogę użyć własnego nazwiska, bo każdy natychmiast przede wszystkim pyta o brata, ale czy rozumiesz, co ja za każdym takim biegiem przetrzymam? Ratowałam go przed kulami, łapankami i bombardowaniem po to, żeby teraz drzeć co dzień, co chwila o chwałę jednego dla mnie chłopaka. Czy to pojmujesz Bogdan? Przecież on się zabije, zabije się” — powtarzała z uporem. — „I po co? Dla kogo? No, powiedz, po co?”

— „Tak” — przeciągnęłam i zamysliłam się. „A ty ciągle o tym myślisz?”. Kiwnęła głową. Poplakała cichutko, ale dokoła i tak ogłądał się na nas. „I może” — badałem — „chodzisz na te... wyścigi?”. — „No pewnie! Pojutrze muszę jechać do Wrocławia. On ma mistrzostwa. Wariat! A ja drę na tej trybunie i czekam, ciągle czekam nieszcześnie”. — „Pojutrze?” — szybko sprawdziłem w pamięci. Tak — miałem wolny dzień. — „Pojadę z tobą do Wrocławia, zgoda?”

— „I wtedy dopiero uśmiechnęła się, nadającą za duchem czasu, kofeiny! Trzeba żyć współczesnością, trzeba rozumieć obywatela, pisać o rzeczach, którymi on żyje. Dziennikarze od siedmiu boleści! Nasz dziennik musi być równie poczytny jak Przegląd Sportowy...” Przysnąłem ci, że takie rozumowanie niezbyt trafiało do mego przekonania, a jednak od czasu tej narady zacząłem uważniej obserwować ludzi — znających, przechodniów, współpasażerów tramwajów i pociągów — i... Czy uwierzysz, że co drugi człowiek zaczyna gazetę od ostatniej strony? Właśnie od tej sportowej.

Pokręciłem głową, ale w ciemności nie zauważyłem tego. Zapalił się, mówił szybciej, żywiej. — „Namiętność mas! Mój Boże, czy naprawdę już nie nadaję? Zaczęłam badać siebie, pytać i słuchać, tak, przede wszystkim słuchać. Człowieku, czy zauważyłeś ile ludzi mówią o sporcie? Jak znakomicie pamiętają nazwiska i cyfry rekordów, jak entuzjastują się, gorączkują wynikami swoich ulubieńców! Porównaj choćby popularność pisarza ze sławą sportowca... Ten potworny grubas Wodolewicz, który nigdy w życiu nie przeszedł pieszo dalej niż od knajpy do kawiarni, potrafi sypać dziesiątkami nazwisk, imion, odległości i czasów, jak gdyby był mistrzem sportu lub co najmniej instruktorem. I tak prawie wszyscy dokoła.

— Byłem zdumiony i przerażony. Usiłowałem zrozumieć, zgłębić tę pasję ogarniającą ludzi. Znam mnie i wiesz, jak wiele czytam i piszę, wiesz także, jak ciężko wyrwać ze znojnego dnia godzinę dla siebie; powiedz sam, gdzie mnie do stadionów obelżonych tysiącami amatorów, stadionów niedostępnych dla zwykłego jak ja, laika, nie mającego biletu, ba, nie mającego biletu z do być. A czas, czas! Niedzielną, ten jedyny spokojny dzień, gdy mogę wreszcie zacząć pisać, miałbym stracić gapiąc się na śmiesznych głosach uganiających za piłką! Nonsens. A przecież wszyscy dokoła, pracujący nie mniej ode mnie tak właśnie urządzają swoje niedziele. Nie potrafiłem ich zrozumieć.

Zamiski zamyślony. Dopiero po minucie podjął spokojniejszym już głosem.

— Tamto spotkanie wypadło właśnie w okresie, gdy myślałem o tych sprawach dość często. Dlatego zdecydowałem się bez wahania. Chciałem zobaczyć, przemysleć i pojąć wreszcie, dlaczego nie nadaję, jak twierdził naczelny redaktor i jak sam to stwierdziłem. Ostatecznie jedna niedziela, w towarzystwie dawniej znajomej, tak osobliwie wplątanej w te historie... Dużo spodziewałem się po tym dniu i wierzę mi, nie zawiodłem się.

— Gdy zawodnicy wymaszerowali na zieloną patelnię stadionu oblepionego tysiącami ludzi stłoczonych na trybunach, poczułem lekkie dreszczyki. Marsz lał się z megalofonów na to zgnala ucihle mrowie, a oni, samotni, zakuci w skórzane ubrania maszerowali twardym krokiem, tacy młodzi, maleńcy wśród olbrzymiej elipsy trybun. Janka poznałem bez trudu. Mimo, że wyrósł, jasna głowa pozostała po dawnym chłopcu, odważnie osadzona na smukłej szyi, bardzo wzruszająca młoda i niewinna. Prowadził szesnastkę gladiatorów, dalekim uśmiechem kwitując syplące się oklaski. Nie wiem, czy dojrzał siostrę, choć zatrzymali się tuż na przeciw naszych miejsc. Zdaje się, że był wzruszony, ale maskował to powagą uśmiechu i swobodną postawą.

— Potem były przemówienia, powitania, no, znasz przecież te kawa-

lęcznym chórze takich jak on em tużastów. Ręczę ci, że ten człowiek głęboko przeżywał, tak, właśnie przeżywał każdy bieg, zwycięstwo czy przegraną. W przerwach kręcił i sumował w swoim programie, niecierpliwie spoglądał na zegarek, porównywał czas, słuchał podawanych przez megalofon wyników — żył. A kobiety!... Nie mówię o Baške, bo wiesz, dlaczego się demerwowała, ale te tysiące młodych i starych, ładnych i wstrętnych, krzyżące, piszące, rozpalone, nieprzytomne... Hazard? Bezwzględnie tak, chociaż nie szło o pieniądze. Patriotyzm lokalny? Zapewne, ale byli tu ludzie z całej Polski, przybyli specjalnie na zawody, podobnie zresztą jak ja. Co ich ciągnęło? Co w ogóle tak pociąga w sporcie tych nie biegających, nie skaczących, nie jeżdżących? Na próżno usiłowałem odpowiedzieć na te pytania.

— Tymczasem biegi szły jeden po drugim, czasem welon żużla tryskał spod kół motorów, na wirażach maszyn pochyliły się pod niemożliwym kątem, jeźdźcy padali, wskakiwali na motory, słońce przestąpił tuman dymu i kurzu. — I wreszcie nadszedł ten bieg. Janek Zapala, mój mały Janek miał walczyć o mistrzostwo ze starym (dwudziestoparoletnim), doświadczonym Zwolińskim, który bronił swego tytułu zdobytego przed rokiem. Stali obok siebie, okraczając drzące motory, kątem oka śledząc startera. Dwaj pozostali żużlowcy nie liczyli się w tym biegu, choć od ich jazdy zależał w dużej mierze sukces zwycięzcy, mieli bowiem, jak się to fachowo mówi, blokować przeciwnika, umożliwiając swojemu partnerowi wyrwanie się do przodu. Start!

Zapalił nowego papierosa. Był wyraźnie wzruszony. — Dojrzałem ich dopiero na drugim wirażu. Spośród fontann żużla wyrwał się Zwoliński mając Janka tuż za sobą. Wyobrażam sobie, że oślepił go żużlem i dymem — chłopak musiał jechać z zamkniętymi mimo okularów oczyma. Trzymał się jednak blisko przez całe pierwsze okrążenie, w czasie którego obaj pozostali odpadli — jeden wskutek defektu maszyny, drugi niegroźnie upadłszy. Ci dwaj pedzili teraz ze wzrastającą szybkością. Na drugim okrążeniu Zapala niezauważalnie zbliżył się do przeciwnika, musiał mieć słabszy motor, ale odległość straconą na prostych nadrobił brawurą zakrętów. Gdy mijaliśmy nas, leżąc niemal na kierownicach motocykli, rzuciłem okiem na moją towarzyszkę. Błada, z zacienionymi przy ustach pleciami podała się do przodu; zdawało się, że całe życie skupiło się w jej szeroko otwartych żnienach wbitych w sylwetkę brata.

— Na trzecim okrążeniu Janek zrównał się z Zwolińskim. Stadion oszał. Nikt nie siedział na miejscu, tłum stał, rozkloszany potężnym krzykiem, przechodzącym w skandowanie: „Za—pa—ła, Zapala—ła...”. Zdaje się, że krzyczałem razem ze wszystkimi. W każdym razie miałem zupełnie suche gardło i nie widziałem nic, prócz tych dwóch chłopaków, pedzących głową w głowę, niby dwa pociski wystrzelone z sprężonych nierozważnie luf. Wpadając na czwarte okrążenie Janek nagłym rzutem ciała wysforował się o pół metra i szaleńczo pochylił motocykl, tarasując przeciwnikowi drogę. Zamknąłem oczy. Trybunami targnął krótki krzyk i nagle zapadła cisza, zdźwięczona wysoką pieśnią motorów.

— Gdy spojrzełam znowu, Zapala rwał tuż przy wewnętrznej stronie toru a Zwoliński usiłował go dogonić, chwytając równowagę rozkołysanym motocyklem. — I tak było do końca. Biała taśma mety owinęła się na szyi Janka, trzepocąc zerwanym kołosem nad jego głową. Wygrał. Został mistrzem. Mistrzem Polski, Baška ścisnęła moje ręce, tłum wyl nazwisko mistrza, motory uciły i zniknęły z toru. — „Jakże jest dumna — mówiła Baška — dumna i, szczęśliwa. Pomyśl, Janek został mistrzem...” Śmiałem się i obejmowałem jej plecy, usiłując wyostać się z trybun. — „A widzisz, a widzisz” — powtarzałem. — Nagle poruszył się i wstał. Wysocka postać ostro zarysowała się na tle okna.

— Nie wiem, po co ci to opowiadam. Wychodzę już zresztą, więc koniec. Możesz to sobie opisać jako nowelę, opowiadanie, co tam chcesz. Ja w każdym razie w dalszym ciągu nie rozumiem, co ludzie widzą w sporcie. Uważam, że stary Wodolewicz ze swoją „namiętnością mas” grubo przesadza. — Do zobaczenia na stadionie — odepowiedziałem. — Wzruszył ramionami i wyszedł.



WIERSZE

WŁADYSŁAWA SZKARADEK-LUBASIOWA

Synek

W moim niewielkim ogródku
z dziwnej przygody ogrodnik
sadzi hiacynty smutku.
Gdy świt chmurami chrzęści
nasz synek pogodnie
wychodzi z różowej budki
śnień,
rączkami mówi światu —
dobry dzień...
I wtedy zakwitają malutkie
dzwoneczki szczęścia...

MIECZYSLAW STRYJEWSKI

* * *

Na pewno pójdziesz drogą do chabrów,
w oczach masz niebo i ten sam uśmiech,
który mój wiersz do strof zabrał
mówię szeptem: nie uśniesz — nie uśniesz.
Ta droga prowadzi do snu i do szczęścia
ostrożnie idź nie pomył ścieżki
ucisz swe serce.
za dużo bowiem radości u Ciebie jednej zamieszka,

♣ wtedy dopiero uśmiechnęła się.

W CIENIU UMARŁYCH MIAST

Na terenie Azji Środkowej w dawnych wiekach ukształtowało się parę ważnych ośrodków kulturotwórczych tak żywotnych, że mimo wielokrotnych przeobrażeń — dożyły naszych czasów. Jednym z nich był właśnie — ściśnięty przez dwie potężne pustynie — Chorezm i sąsiadująca z nim od południa Sogdiana. Pustynie te rozrastały się w latach upadku obu krajów, gwałtownie cofały w okresach ich potęgi — stając się najsumienniejszymi kronikarzami przemian, jakie kolejno następowały.

Chorezm był widownią bardzo skomplikowanych procesów etnogenicznych, przelewały się przez niego i krzyżowały ze sobą najrozmaitsze ludy, mówiące najbardziej różniącymi się od siebie językami. Pierwotni jego mieszkańcy stanowili, zdaje się pomost pomiędzy przodkami dzisiejszych Węgrów, a przodkami... Drawdów (tj. czarnej ludności południowych Indii). Po nich przyszedł jakiś lud indoeuropejski pokrewny tajemniczemu Chetytom Azji Mniejszej, przynosząc „Węgrodravidom” umiejętność hodowania bydła i pierwsze wiadomości o uprawie roli. A potem przewalowały się przez kraj kolejne fale coraz to nowych najeźdźców: irańskich i massagetów, huńskich i tureckich, tybetańskich, chińskich i arabskich, aż żywioł językowo-turecki przeważał, upodabniając Chorezm i Sogdianę do innych krajów Turanu, a potomków prastarego ludu chorezmijskiego — Uzbeków czyli Sartów — do sąsiednich narodów Turkmenistanu i Kirgizji.

Przynależność języka do jakiejś grupy nie jest jednoznaczna z przynależnością danego narodu do tej samej grupy. O przynależności danego narodu do większego zespołu decyduje nie pochodzenie i nie język, lecz kultura. A ta wzięła Uzbeków z ich południowymi sąsiadami — Tadyżkami (choć mówią oni językiem indoeuropejskim) a oddalała od otaczających dawny Chorezm z zachodu, północy i wschodu stepowych ludów turańskich (Turkmenów, Kazachów i Kirgizów).

Starożytny bowiem Chorezm wyrósł z walki z pustynią, a te ludy były właśnie dziećmi pustyni. W walce z pustynią kształtował Chorezm swój charakter państwowo-narodowy, której w zasadzie pozostał wierny przez 25 wieków swego istnienia (padł pod nawałę Mongołów na pocz. XIII w.) i którą przekazał w spadku ludowi uzbeckiemu. Podstawowym credo tej ideologii była walka życia ze śmiercią, oazy z pustynią, Ormuzda z Arymanem. Czyż można się dziwić, że właśnie narodziła się nowa religia mazdaizm, religia będąca najlaskrawszym wyrazem wiary w nieustanną walkę dobra ze złem — pojmowanych jako siły równorzędne.

Pustynia wyświadczyła jednak ludzkości nieoszacowaną wyrost przysługę, bo zachowała ogromną większość budowli starożytnego i średniowiecznego Chorezmu w stanie dość dobrze zakonserwowanym. Co więcej, stała się ich wspaniałym strażnikiem przed zachłannością ludzi, którzy doszczętnie rozebrali wszystkie ruiny znajdujące się w bezpośrednim zasięgu osad.

Przejdźcie od gęsto zaludnionych oaz do całkowicie bezludnej pustyni jest tu nagle. I zaraz potem zaczynają się te dziwne miasta i zamki, ciągnące się na wiele setek

kilometrów — aż do dalekiej Syrdarii na północy i w głąb upalnej Turkmenii na południu. Jest ich tak wiele, że dotychczas skatalogowano zaledwie nieznaczna ich część. Nie można się temu dziwić, jeżeli zwazymy, że w tzw. okresie Afrygidów (IV—X w. po Chr.) wszyscy wolni chłopcy budowali sobie zameczki, ze względu na wyjątkowo niespokojne czasy. W samej tylko okolicy Giaur-kała miało być takich „chłopskich zamków” około dwunastu tysięcy.

Budownictwo chorezmijskie w ciągu swych dwudziestopięciowiekowych dziejów przeżyło bardzo skomplikowaną drogę od prymitywnych (a zawsze wielkich) budowli z chrustu i gliny do wspaniałych nieufortyfikowanych zamków-palaców XII w. A zarazem było tak bardzo oryginalne, że niesposób przejść nad nim do porządku, nie nakreśliwszy bodaj zasadniczych jego etapów.

W w. VIII-VI przed Chr. budowano tu coś jakby olbrzymie zamczyska z mieszkaniem w murach, które w ten sposób spełniały podwójną rolę: jako fortyfikacje i jako domy mieszkalne. W środku znajdował się olbrzymi dziedzińiec, który służył za pomieszczenie dla bydła, stanowiącego najcenniejszy majątek gminy. Bowiem „zamczysko” nie było niczym innym tylko dziwacznie (jak na nasz gust) pomysłaną wsią.

Po tym przyszedł okres budowania domów — masywów. I znów cała wieś mieszkała w tym jednym domu. Tylko, że nie miał on dziedzińca, bo czasy były widocznie spokojniejsze i bydło można było zostawiać poza obrybem domu. W tym samym okresie zaczęły powstawać i miasta — znów, jak na nasze przyzwyczajenia, dość dziwne, bo złożone z dwóch do ośmiu domów — olbrzymów, pobudowanych symetrycznie po obu stronach ulicy prowadzącej od bramy świątyni ognia. Parzysta ilość domów w mieście była wynikiem tego, że każda strona ulicy stanowiła ekotomiczną fratrię — czyli była żoną wyłącznie z przeciwnej strony. Taki stan zachował się aż do czasu narodzenia Chrystusa.

Na późniejsze czasy, aż do po-

czątki IV w., przypada okres wspaniałego rozkwitu kulturalnego kraju — mimo, że przez większą część tej epoki Chorezm był walesem cesarstwa kuszańsko-indyjskiego. Wraz z obcymi garnizonami przyszedł i buddyzm, choć — zdaje się — nie był tu nigdy religią panującą, a jedynie nadał swoiste zabarwienie miejscowemu mazdaizmowi.

Początek XI i cały XII w. są epoką rozkwitu miast ze wspaniałymi pałacami i świątyniami — tym razem muzułmańskimi. Kres temu rozkwitowi położyła dopiero nawała mongolska.

Autora książki, która była punktem wyjścia niniejszego artykułu i interesują przede wszystkim zabytki kultury materialnej — a zwłaszcza budowle, zamki, miasta umarłe. Dociera on do nich czasem pieszo, czasem samolotem. W drodze skrupulatnych badań odwarza zamierzoną przeszłość kraju, konfrontując zdobyty materiał z tymi skrawkami wiadomości, jakie przechowały się u Biruniego oraz autorów arabskich i chińskich. Cała bowiem starsza literatura chorezmijska poszła z dymem najazdu arabskiego w t. 712. Wówczas napastnicy wymordowali również wszystkich uczonych chorezmijskich, w tej liczbie i historyków, co uniemożliwiło na przyszłość normalne studia nad wcześniejszymi dziejami nieznaczniejszego kraju.

Odkładam książkę Tolstowa i staram się ogarnąć myślą całość zagadnienia wykraczającego poza ramy nawet tych dwudziestu pięciu wieków. Obraz komplikuje swistość stosunków środkowo-azjatyckich, a przede wszystkim płynność tutejszych elementów etnicznych — gdy w Europie podobna płynność w zasadzie ustala tuż po wędrówkach ludów. Jeżeli nawet element słowiański topniał tam pod naciskiem Teutonów, to były to, mimo wszystko, zaledwie wahania linii demarkacyjnej na pograniczu dwóch olbrzymich szczepli, które przeważnie zachowały większość swego stanu posiadania.

Tu, w Środkowej Azji, antagonizmy międzyszczepowe znalazły — w okresie antycznym — swój wyraz w walce niewolniczych państw indoeuropejskich z turańskimi demokracjami wojskowymi, przy czym elementem nacierającym byli z reguły niżej stojący pod względem kulturalnym Turańczycy. Ale procesy narodotwórcze, towarzyszące tym walkom, nie były tu tak wyraźne, jak w Europie i na progu

średniowiecza bynajmniej się nie zakończyły.

Wtedy to na widownię wystąpił islam — doktryna religijna w gruncie rzeczy dość prymitywna w porównaniu np. z zoroastryzmem czy buddyzmem. Stanowiąc swoisty konglomerat miejskiego kultu Mekki z wierzeniami bedulnów, islam uczynił to, czego nie potrafiłaby chyba żadna inna religia świata. Stał się doskonałą wspólną platformą ideową dla posiadaczy niewolników z jednej, a stepowych rabusiów z drugiej strony. Zmilitaryzował opasłych handlarzy i nadał sankcję religijną napadom zbójckim. Dla krajów niemuzułmańskich stał się źródłem nieustannego zagrożenia, ale w świecie już zislami-zowanym czynnikiem w pewnym stopniu pacyfikacyjnym. Poodwracał przy tym wszelkie sojusze wynikłe ze wspólnoty języka i pochodzenia, a przez narzucenie nawróconym krajom języka czy to arabskiego, czy (w mniejszym stopniu) — perskiego pogmatwał niesłychanie stosunki narodowościowe, które i bez tego były skomplikowane. Państwa środkowo-azjatyckie w epoce antycznej okazywały bowiem ogromną płynność kształtów, powierzchni i składu ludnościowego. Za przykład może służyć drobnoułteński szczepl Kuszanów w południowym Uzbekistanie, który zagarnął niepodzielnie na przeciąg ponad 200 lat całą środkową Azję i Indie.

Doniosłość pracy Tolstowa i innych radzieckich archeologów i historyków tej części Azji polega przede wszystkim na tym, że rzutują oni w przeszłość mając za punkt wyjścia konkretne, żywe narody współczesności. I to właśnie umożliwiła tym narodom — w danym wypadku Uzbekom i Karakalpakom — wejście we własną przeszłość i utwierdzić się w poczuciu słusznej dumy narodowej przez poznanie i okochanie tego, co minęło. Dzięki Tolstowowi i jego towarzyszom, dostrzegają one coraz bardziej wyraźne zarysy historyczne swych ojczystych krajów.

Dla pozostałej zaś ludności odsłonił wymieniani tu uczeni nową kartę dziejów starożytnego Wschodu, który dla naszych ojców kończył się na Egipcie, Babilonii i Persji. Kartę wyjątkowo ciekawą, bo mówiącą o walce życia ze śmiercią i twórczej pracy z nacierającą ze wszystkich stron pustynią.

*) S. P. Tolstow: „Śladami cywilizacji starożytnego Chorezmu”, Czytelnik, 1953



Matka Boska z Dzieciątkiem
malował Giovanni Salvi, zwany Sassoferrato (wiek XVII)

ANDRZEJ PIOTROWSKI

TOPOŁOWA MADONNA

„Maryjo, Pani Aniołów...” C. K. Norwid

W szorstkim cieniu topoli smukłej
wiąże drogi Madonny posąg
i zazdrośnie gwałtowny zółcień
strąca z oczu igiełki rosy.

Lewy Anioł miłością przyjął
pokorę wschodzących dion
— zanim Panna łaską pochyli
nad włosami dar ciszy pogodnej.

MARYJA ROKOKOWA

Opornie dźwiga ciężki barok
sklepienia łuk jak noc wysoki
i nagle — spośród linii karnych
rokoko.

Błędne barwy radośnie łącząc
wiotko rzeźbił Cię mistrz pokorny.
Wiodłaś jego ręce i oczy
— w koronie.

Dłoni lekkich zabawnie nie wiń
i aniołków pulchnych aż nazbyt.
Snycerz odkrył w figurce zwiewnej
kształt Prawdy.



Z malowideł ściennych Chorezmu

JERZY KRZYSZTOŃ

Księga młodych nadziei

CZTERDZIEŚCI pięć nazwisk — to wcale pokazywać zastęp młodych adeptów literatury. Zebrani w „Almanachu”, w orydku: poezja, proza, satyra — czekają już od dawna na wiadomość o tym, jak zostali przyjęci, kto ich przeczytał i co o nich sądzi. Czekają coraz bardziej zawiązani, gdyż jakoś nikt — poza Flaszemem — do wypowiedzi specjalnie się nie kwapił. Wydawnictwo planowało wprowadzić duszkę wśród czytelników, ale realizacja tego projektu bodaj nie wykroczyła poza sferę dobrych chęci. Ponieważ jednak czuję się „Almanachem” sprawkowany, uważam, że powinienem zabrać głos w nieistotniejszej dyskusji.

Nie jest łatwo przebrnąć przez te księgi młodych nadziei. Ktoś, kto by to stwierdzenie uznał za niesłuszne, musiałby się naprawdę pasjonować lekturą czytelnika dla siódmej klasy szkoły podstawowej czy też ulotnych wierszyków w gazetkach ściennej — inaczej byłby w literaturze lązarem. Zgodźmy się na jedno, że tych kilka godzin spę-

dzonych nad „Almanachem”, żeby go przeczytać od deski do deski — to solidna lekcja cierpliwości. A po zamknięciu tej dość pokąsanej obietnicowo księgi — żal, że do młodych, że tak niewiele potrafią.

Wydaje mi się, że czymś wysoce niewłaściwym w ferowaniu sądu o „Almanachu” byłaby postawa łagodnej wyrozumiałości, łatwy peścik poklepywania po ramieniu w nagrodę za dobre chęci. Ufam, że każdy z młodych autorów włożył w swą pracę chęci jak najlepsze, że był w niej głęboko uczuciowo zaangażowany. Lecz w literaturze — jeśli mamy być szczerzy — liczą się nie dobre chęci, ale dobra robota. A tej w „Almanachu” widać istotnie niewiele.

Co jednak razi najbardziej, co każe się nad „Almanachem” smutno zadumać to fakt, że większość zamieszczonych utworów, zwłaszcza opowiadań, jest jakaś grzeszna, poprawna poprawnością wypracowań pisanych na zadany temat. Powierzchniowe widzenie spraw ludz-

kich i usilna wręcz dbałość o tzw. optymistyczny wydźwięk — mści się w paradoksalny niemal sposób: konflikty dostrzeżone polarizują się, tracą ostrość i nad utworem zawisa ciekawa atmosfera bezkonfliktowości. Taki jest los „Szeregowego Moraucy” i „Nocnej zmiany”, taki jest wbrew pozorom los „Żywej ziłoty” i „Zetempowca Pysia”. Zwłaszcza popularnie schematycznie „Żywe ziłoty”, bez żenady operujące techniką czarno-białych charakterów, świadczą o wiernym naśladowaniu naszej obfitej literatury o tematyce wiejskiej. Ze młodzi naśladowcy, to fakt znany, że naśladowcy na ogół niewiedzą, to także fakt znany. Ale komuż — jeśli nie im — przyszłoby prawo do eksperymentu, komuż — jeśli nie im — winno być właściwie — nie opanowanie rzemiosła, bo to przychodzi później — ale owa świeżość, odrebność spojrzenia, owa zdolność widzenia rzeczy na nowo, w nowym pryzmatającym wszystkim świetle, bez której nie może być mowy o indywidualności pisarskiej. Czytając „Almanach” w wielu wypadkach nie wiadomo, czy rosną pisarze, czy też powielają cudzych myśli, cudzych błędów, cudzych wzorów. Czy rosną zarliwi bojownicy rewolucji, czy przyszli specje od wyw-

chiwania koniunktury? I to jest właśnie najsmutniejsze.

Ale są w „Almanachu” pozycje mocne, osiągnięcia niewątpliwe, dzięki którym ta księga okupuje sens swojego istnienia. Sądzę, że mówić tu można przede wszystkim o trzech opowiadaniach. Ich twórcy zapowiadają się na tegich prozatorów. Opowiadania te, których tytuły brzmią: „Baza sokolowska”, „Brzeg” i „Prawo Archimedesy”, biorą wszystkie inne zgromadzone w tomie o dobrych kilka długości. O nich i tylko o nich można powiedzieć, że już należą do literatury.

Jest jeszcze w „Bazie sokolowskiej” coś z zafascynowania egzotyką środowiska, jest jeszcze widzenie człowieka tylko w procesie pracy, ale jakie w tym ograniczeniu pogłębione, jakie bliskie spełnieniu postulatów Gorkiego, gdy mówił, że głównym bohaterem winna być praca, tj. człowiek, którego kształtowały procesy pracy”. Problem opornego dorastania człowieka w najtrudniejszym konflikcie z własną słabością — został w „Bazie sokolowskiej” artystycznie zwycięsko rozstrzygnięty. Jest to wartka, żywa, jedyna proza. Mocno chwytane postacie. Duża zdolność montowania zaskakujących swą praw-

dziwością sytuacji. Niewątpliwie nerw dramatyczny i świetna znajomość środowiska — to szczególne walory tej objętościowo niemalże opowieści, która potrafi przykuć uwagę czytelnika.

„Brzeg” rodzajowo odmienny, o spokojnym, długim oddechu epickim, zaskakuje prawdziwością obrazu przedwojennej wsi z kategorią tych tzw. „kresowych”, typową siłą konfliktu, umiarem i precyzją w określeniu postaci. Autor nie sugeruje, nie komentuje, nie wyjąskrawia. Z rozumą pozwala, aby losy Marty i jej tragedia splecione z losami i tragedią całej wsi — mówiły same za siebie. Schematyzm — kolportujący pokatnie tezę, że pewien typ uwarunkowań klasowych zabija w ludziach człowieczeństwo (przykład znany: kulak) — spotkał się w tym opowiadaniu z należytą odprawą. Duża to zasługa autora „Brzegu”, że jego Froń to jednak człowiek o mentalności kulaka. Ale najbardziej godny pochwały jest ów artystyczny umiar, odpowiadający głębokiemu i trzeźwemu spojrzeniu na rzeczywistość. Wiem, że niektóre przeobrażenia ludzkiego stają się w literaturze dość łatwo przedmiotem kolosalnych nadużyć. A w „Brzegu” wystarczy wskazać na opis porodu, wymowny przykład tej szcze-

gólnej dyskrecji, tego umiaru, skąd właśnie czerpie „Brzeg” swą żywotność artystyczną.

A „Prawem Archimedesy” przepłynął czysty strumień liryzmu. W tej krótkiej, bezpretensjonalnej nowelce zamknięto taki ładunek uczucia i prawdy o człowieku, że ze wszystkich zamieszczonych w tomie wierszy nawet połowy tego się nie wydusi. Mógłby ktoś powiedzieć, że takie sztubackie kawałki, gdzie mowa o starim belfrze — od wiek wieków piszane były z łezką. Ale rzecz w tym, że „Prawo Archimedesy” wcale nie jest eklektycznym z rzedem temu, kto w tej perlece znalazłby skazę sentymentalizmu.

Więc jednak księga niezawiedzionych nadziei. Pisarze nie rozdają się na kamieniu. Tylko trzech spośród czterdziestu pięciu — to w gruncie rzeczy bilans dodatni. A jeśli ktoś ciekawo nazwisk autorów, niech kupi „Almanach”.

*) „Almanach Literacki” Wyd. „Iskry”, Warszawa 1954, str. 435. (Przedmowa Igora Newerlego).

TEATR WIELKICH MISTRZÓW

Kiedy w r. 1949 Akademicki Teatr Mały obchodził 125-lecie swego istnienia, był już odznaczony orderem Lenina; miał — jak zawsze w swych dziejach — najlepsze kontakty literackie; prowadził 4-letnią wyższą szkołę dramatyczną im. Szekspira, stanowił prawdziwy uniwersytet sztuki teatralnej. Film z r. 1949 o kreacjach czołowych mistrzów tej sceny zapoznawał świat z poziomem jej aktorstwa, wkrótce zaś ekranizacje sześciu spektakli: „Mądremu biada” Gribojedowa, „Prawda dobra, szczęście lepsze”, „I koń się potknie”, „Wilki i owce” Ostrowskiego, „Barbarzyńcy” i „Wassa Zeleznowa” Gorkiego — dawały wcale pełny obraz jego stylu inscenizacyjnego. Gdy w tym roku przybyła do Moskwy paryska „Comédie Française”, posłał ją u siebie Teatr Mały, będący najbliższym jej odpowiednikiem w Związku Radzieckim.

TEATR AKTORA

Jak większość radzieckich teatrów — Teatr Mały uważa się przede wszystkim za teatr aktora. Ale też rozporządza naprawdę wspaniałym aktorskim zespołem! Artysty teatru mają już czysto zewnętrzne warunki takie, jakie spotyka się niesłychanie rzadko. Przypomnijmy sobie potężny, huczący głos J. I. Awierina w roli tępego militarnisty carskiego Skołozuba lub niezrównane liryczne odcienie porównawczego głosu J. M. Solodowej w roli Zofii w „Mądremu biada” czy Raszel w „Wassie”. Ogromny jest naturalny komizm I. W. Iljińskiego, wspaniałe warunki ma odtwórcza roli Czackiego, dyrektor teatru. M. J. Cariew. Każdy, kto widział choćby tylko ekranizację „Barbarzyńców” Gorkiego, pojmie łatwo, że mało jest na świecie teatrów, które byłyby w stanie z równym powodzeniem obsadzić sztukę tak bogatą.

Do czysto naturalnych walorów znakomicie dobrane 130-osobowe zespoły artystyczne kolektyw, zasilane co roku absolwentami własnej szkoły, dochodzi w poszczególne kreacje wielka kultura aktorska, nienaganna technika, przemyślana koncepcja postaci. Trzy

spektakle, które oglądałem w lipcu (tyle tylko zezwolił dyrektorzy od rozdzielników): „Mądremu biada”, „Wassa Zeleznowa” i „Gdy kruszą się kopie” — dawały pouczające przykłady artyzmu aktorskiego najwyższej klasy.

Weźmy Wierę Paszenną w roli Wassy Zeleznowej. Ta znakomita artystka, która od młodzieńczej roli Lizy w „Mądremu biada” poprzez Lubow Jarową z 1926 r. szła ku swym najdojrzalszym kreacjom, stwarza tu postać głęboko przeżyta i wstrząsającą. Jej Wassa osiąga w kontekście całości sztuki znaczenie symbolu, nie przestając być w każdej chwili w pełni ludzką. Paszenna w najmniejszym stopniu nie demonizuje Wassy, jej bezwzględność nie wyklucza zdolności do cieplejszych uczuć. Z jakim niepokojem słucha ona relacji z sądu Mielnikowa, jaka burza uczuć młota ją, gdy decyduje się doprowadzić do otrucia zwyrodniałego męża, kompromitującego córki na wydaniu. Gra oczu jest tu szczególnie pełna ekspresji. Widzimy, jak poza zwykłym ludzkim wzruszeniem pracuje w niej żelazny rozum posiadaczki. Lecz nawet mimo jej fałszywej mądrości, odczuwamy w Wassie — Paszennie istotę głęboko smutną — dziwnie przypominającą nam ona Matkę Courage — Heleny Weigel, ciągnącą z rozpaczliwym uporem wóz doł własnej i swej chorej klasy.

Z wielkim zainteresowaniem śledzi również polscy widzowie kreację Michała Cariewa w roli Czackiego. Cariew jest zapewne starszy od naszego warszawskiego Czackiego, Jana Kreczmara, i od szesnastu już lat wciela się w trudną młodzieńczą rolę buntowniczego rezeronera dramatu Gribojedowa. Trzeba przyznać, że mimo to stwarza postać bardziej przekonującą i jednolitą, że ściślej zespala w niej rezonera i kochanka. W jego roli wczuwa się jako silny nurt podtekstu — intensywną myśl o zdobywaniu serca Zofii (będącej jakby usobieniem carskiej Rosji, odpychającej bojowników postępu i wolności). Cariew coraz nowymi miłosnymi wypadami przerywa satyryczną monotonię swej roli, lecz nawet malując złośliwie środowis-

ko stołeczne, realizuje główny jej podskórny nurt, starając się nawet w tych partiach podbić Zofię błyskotliwością intelektu, dowcipem, ciętą ironią. Mimo maski i mimiki zapewniającej mu większy sukces niż w roli Czackiego sukces w roli np. Głunowa z sztuki Ostrowskiego, Cariew imponuje siłą, pasją, żarem swej roli, przechodzącej dopiero w zakonczeniu, po rezygnacji z Zofii, w tony szlachetnego, ponadosobistego patosu.

W sprawie jednej z czołowych kreacji miałoby się ochotę podyskutować Igor Iljiński — znakomity Zagoriecki w „Mądremu biada”, niezapomniany generał Krutickij w „I koń się potknie” — w sztuce Pogodina jako akademik prof. Kartawin jest również bardzo plastyczny, lecz charakterystyczny komizm, jaki artysta przydaje tej naukowej sławie, ma w sobie chyba jakiś ton fałszywy, odpowiadający postaci poza granicę prawdopodobieństwa i artystycznego sensu: połączenie cech uczoności z cechami dziwactwa nie wypada swobodnie — inna rzecz, że więcej od gry aktorskiej zawinił tu bodajże tekst autorski i reżyseria.

W wymienionych trzech spektaklach jest więcej znakomych kreacji, wystarczy wymienić głównego reżysera teatru Konstantego Zubowa, w roli wyborczego, niezwykle naturalnego Famusowa, Michała Zarowa jako odzwierciedlony postać Prochora w „Wassie”, N. W. Komissarowa, który wrył się nam w pamięć rolami Zeleznowa i reakcyjnego profesora Szawina. Świetne były i epizody, jak np. z Mielnikowem — seniorem, twardym, zdawałoby się nieprzejednanym w sędziowskim uniformie, lecz z równą „godnością” miękącym po podwyższeniu łapówki. Sposób, w jaki L. N. Titow wymawia słowo „nie — iz — bieźno” (nieuniknione), podbijając stawkę szantażu, był bardzo interesujący.

Wysoką klasę reprezentuje również młodsze i najmłodsze pokolenie artystów. W. D. Doronin zabłysnął — jako Wadim w „Gdy kruszą się kopie” — nerwem dialogowym i poczuciem humoru. O. M. Chorkowa w Gribojedowie za-

dziwiała żywością, dowcipem, czujnym, aktywnym kontaktem w scenach mimicznych; jej Liza nie miała nic z kosmopolitycznej subretki, była na wskroś ludową postacią rosyjską. Oryginalnie, oskarżając, buntowniczo wypadła Natalia W. J. Jewstratowej w Gorkim, b. subtelnie — teje artystki Zofia Georgiewna Czebakowa, lirycznie — Ludmila K. F. Rojek w „Wassie”, Młodzież Teatru Małego zapowiada się świetnie, i to w każdym em-ploji.

Choć mamy i my swoją Wasse — Perzanowską, Famusowa — Kur-nakowicza, Czackiego — Kreczmara, Zofię — Barszczewską, tego bogactwa indywidualności aktorskich i tego poziomu gry, jakimi rozporządza Teatr Mały, możemy słusznie mu pozazdrościć.

ODRĘBNOSĆ SYLWETKI ARTYSTYCZNEJ TEATRU

Dewizą Teatru Małego jest grać klasykę tak, jakby działa się ona współcześnie, a repertuar współczesny — z klasyczną dojrzałością. Spektakle, któreśmy ujrzeli, potwierdzają ten artystyczny program Zubowa.

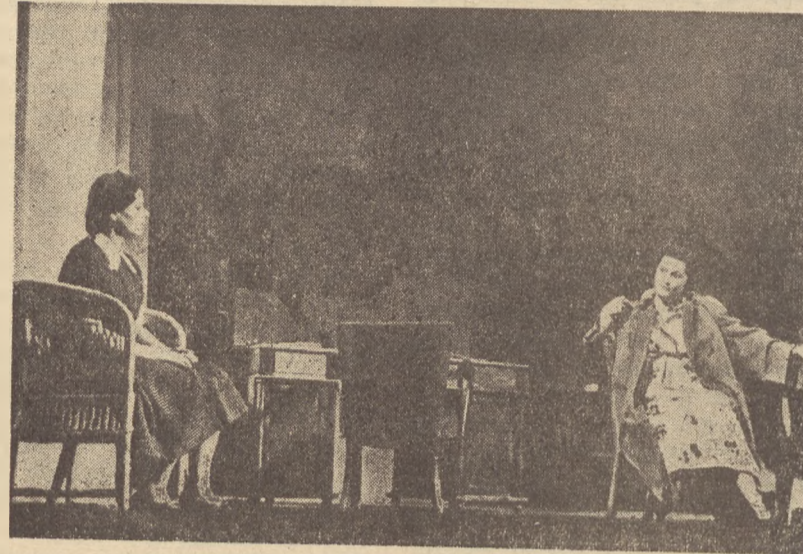
Inscenizacje teatru łączą ścisły realizm z niezbędną artystyczną umownością. Dzięki temu społeczeństwu, nie ztracając wiernego obrazu rzeczywistości, teatr uzyskuje w większości sztuk efekt wielkiej przemożności.

W dekoracji B. G. Knobloka do „Wassy Zeleznowej” fotografia statku na rzece, mapa doręczna, ponadto zaś ryk syreny, wprowadzają od razu w atmosferę wielkiego przedsięwzięcia żeglownego, podczas gdy celowe, zwłaszcza w zakończeniu sztuki, wysunięcie ku rampie kasy wielkich rozmiarów jako głównego plastycznego akcentu, podkreśla hiperboliczny sens sztuki. Temu samemu celowi służy motyw ustawicznego zamykania: kasy, szuflad, drzwi, okien, w myśl obłądnej idei Prochora: wszystko pod klucz.

To samo dotyczy prowadzenia aktora. Wyrazistość, dokładność, precyzja słowa, mimiki, gestu, ruchu często przechodzi w umyślną jaskrawą dobitność. Kulturę rosyj-



Wiera Paszena w roli Wassy Zeleznowej



Scena z II aktu „Gdy się kruszą kopie” M. Pogodina

skiego słowa doprowadzono tu do mistrzostwa. Metodę działań fizycznych opiano w sposób niezawodny. Lecz aktorzy pamiętają, że i słowo, nasycone podtekstem i będące wtedy działaniem, i działania fizyczne — służą nurtowi przewodniemu sztuki i jej wyrazowi ideowemu. Dobitność środków wyrazu, z którą często spotykamy się w spektaklach, silne, nawet brutalne efekty, które tyle razy zaskakiwały nas w „Wassie Zeleznowej” (scena z Lizą i fotelem; z Patriorkinem, Wassą i gitarą; z Prochorem i Lizą czy Anną) mocniej podkreślają sens ideowy sztuki, wyrażając gorącą ideową pasję teatru. I jeszcze jedno: chęć, aby być najpełniej zrozumianym przez nową, samowolucyjną publiczność. Temu samemu służy i tempo przedstawień, nieco wolne, pozwalające widzowi smakować słowo, pointy dialogu, sytuacje psychologiczne. Tempo to na nasz polski gust wydaje się aż zbyt wolne, choć w wielu scenach sztuki Pogodina reżyser L. A. Wołkow udowodnił, że umie spektaklowi nadać wartość niemal filmową. Zasad-

niczo jednak w teatrze radzieckim, również w Teatrze Małym, spotykamy się z tym samym zjawiskiem, które St. Szwarczyńska wyjaśniła mówiąc o dramaturgii i teatrze Wiktora Hugo: jaskrawość i dobitność efektów teatralnych uzasadniona jest nową masową widownią, do której się one zwracają. W przeciwieństwie do kameralnego stylu „Mchatu”, wyrosłego z lirycznej dramaturgii Czechowa, Teatr Mały wychodzi w bardziej bezpośredni sposób ku publiczności, przekracza niejako linię ramy. Już Szekspier mówił w „Rewizorze” swoje głosne „Z czego się śmiejęcie” od ramy wprost ku otwartej sali; po latach powtórzył to świadomie Cariew w „Rosyjskim zagadnieniu”. To jest typowe dla stylu teatru.

Jak widzimy, zmienia się — jak wszystko w świecie — i stare pojęcie akademickości. W działalności moskiewskiego Teatru Małego treść tego pojęcia, pokrywająca się z mistrzostwem i doskonałością formalną, służy wychowaniu do nowego życia najszerszych mas ludowych.

ALINA ŚWIDERSKA

„Fantazy” sercem wolny

„Fantazego” widziałam na naszej scenie kilkakrotnie w różnych odstępach czasu zaczawszy od „Niepoprawnych”, poprzez „Nową Dejnirę” (nota bene ten tytuł wydaje mi się najlepszy), do Modrzejewskiej aż do Osterwy.

Z dawniejszych przedstawień najświeższe utkwiła mi w pamięci młoda podówczas Wysocka jako Diana. Owa wspaniała — jedyna w naszej literaturze dramatycznej — tyradę potrafiła tak wypowiedzieć, że stanęła na równi z Modrzejewską i, rzecz niebywała wówczas i zgola nieprzejęta, dostała oklaski przy otwartej scenie.

O grze Modrzejewskiej nie mogłam wtedy sądzić bestronnie, ponieważ odnosiłam się do niej z całym młodocianym uwielbieniem. Dopiero później w zestawieniu z innymi odtwórczyniami tej roli wydatniła mi się jej wartość. Najlepszym Fantazym, jakiego pamiętam przed Osterwą, był Tarasiewicz. Wybornym Rzecznikiem — Zelwerowicz. Innych już sobie nie przypominam.

Obecne przedstawienie w krakowskim Teatrze Słowackiego posiada jedną, ogromną zaletę — doskonałą dykcję. Nigdy bodaj jeszcze wiersz Słowackiego nie wypadł tak bez zarzutu. We wszystkich rolach bez wyjątku nie przedpadło ani jedno słowo. Co do interpretacji można by poczynić pewne zastrzeżenia, ale to rzecz inna.

Sam Fantazy był bardzo dobry. Dał żywego człowieka, utrzymanego przy tym w stylu epoki i deklamującego, tam gdzie potrzeba i tak jak potrzeba. Tylko w ostatnim akcie przy słowach: „Do kaplicy cię tej ciemnej wiodę, Astarte!” to, że chwytła za rękę i wleczła za sobą opierając się Idalię, nie jest dobrym efektem. Tarasiewicz zrobił to o wiele lepiej. Objął ją w pól i biegł z nią razem.

Idalia posiada doskonałe warunki zewnętrzne, co jej ułatwiło opanowanie roli. Strona deklamacyjna, gest pełen afektacji były bardzo dobre, brakło jednak w tej grze odcieni niezbędnych. Postać to bowiem wielce złożona. Spod nieustannej pozycji występuje żywa kobieta i tym właśnie rysom należy dać koniecznie odpowiedni wyraz.

Nasuwają się tu oczywiście porównania z Modrzejewską. Nikt tak jak ona nie umiał wydobyc z tych poszczególnych zdań, tych, nawet słów pojedynczych, w których jest ona sobą, jest naturalna i nikt nie zdołał tak pogłębić ich znaczenia samą intonacją. Jest jeden moment, na który zawsze czekam z ciekawością. W akcie czwartym, kiedy hrabina Respektowa mówi

ponieważ pisząc, miałam ją cały czas jak żywą przed oczami. Przechytwiłam się do niej w dźwięku, przekonałam się, że więcej, niż ja w tych wszystkich rozdziałach, powiedział Słowacki w pięciu wierszach:

nad nim, oddychać różami cesarów
i widzieć, jak się w tym człowieku rozdził
nowy ideał wieków, pełny czarów,
który mu całą przyszłość rozpozodzi.
O, jak mi dobrze było na podścielił
granitów rzymskich — z pochyloną głową

Te wiersze w obecnej interpretacji wypadły bardzo dobrze, prócz dwóch małych usterek. Pierwsza — to drobiazg, opuszczenie przecinka po słowach „nad nim”, które powinny się wiązać z uprzednim wierszem będąc jego dopełnieniem, a nie początkiem następnego (jest to bowiem przedstawiony szkielet „z pochyloną nad nim głową”, a nie: „nad nim oddychać”). Druga omyłka jest ważniejsza, bo zmienia myśl zupełnie. W oryginalnej jest: „który m u całą przyszłość rozpozodzi”, a nie: „który m i”, jak było powiedziane.

Wielkim błędem było obsadzenie roli Diany, która wymaga o wiele mocniejszej siły aktorskiej. Wskutek tego cała końcowa scena aktu pierwszego przeszła zupełnie bez efektu, słynne „duchowi memu dała w pysk” zostało zbagatelizowane, i słusznie, bo było niczym nie wytłumaczone, a wykrzyk: „w mojej duchowej naturze wielka się stała, ogromna przemiana” również pozostał bez uzasadnienia.

Hrabina Respektowa jest o wiele za młoda i za ładna. W owych czasach matki dorosłych córek, choć bynajmniej nie stare, ubierały się już i zachowywały jak matrony, a punkt ciężkości tej roli leży gdzie indziej. Nie wyszukała ona dostatecznie kontrastów między poetyczno-romantyczną afekcją a przeblyskami drapieżnej chciwości. Zbyt też blado wyszedł jeden z najładniejszych epizodów, w którym u tej intrigantki, komedianki bez czci i wiary, gotowej przehandlować własne dziecko, odzywa się jednak naprawdę serce macierzyńskie, i słowa: „we łzach jestem cała... nie dziw się, ja matka...” nie są deklamacją, powinny więc należeć zaakcentowane, wtedy dopiero nabrąć może wyrazu również szczerze wzruszona odpowiedź Fantazego: „Pani mnie mocno tym zobowiązała, że mnie pierwszego wziąłś tu za świadka tych łez, umiem je cenić...”

Rola Jana jest widocznie wyjątkowo trudna, bo nie widziałam jeszcze wykonawcy, który by ją ujął w odpowiedni sposób. Obecny odtwórca grał z przejęciem i patosem, ale to nie szło po tej linii, po jakiej iść powinno. Zawsze tak jak i dotychczas najlepszym momentem tej roli pozostaje piosenka żołnierska śpiewana w ogrodzie księdza Logi, a tym razem mająca także pierwszorzędą wartość muzyczną.

Cała scena wieczorna jest pełna tak subtelnej poezji, że musi być grana „solto voce”, żeby mógł wy-

stąpić cichy i głęboki żal, jaki się w niej zawiera. Wszelkie mocniejsze akcenty muszą być z niej wykluczone. Idalia powinna więcej zaznaczać tę mieszaninę romantycznej pozy i odruchów szlachetnego serca, jaka się tu w niej przejawia. Ksiądz Loga powinien mieć więcej prostoty, a ani cienia patosu.

A Jan? Kiedy Jan odchodząc mówi: „Bądź zdrow staruszk...” Dobrzy w Polsce ludzie...”, to cały teatr powinien płakać.

Rola Stelli jest niezmiernie wdzięczna. Jej wykonawczyni miała ten wdzięk wydobyć. Hrabia Respekt, wybornie ucharakteryzowany, grał zgodnie z tą charakterystacją. Rzecznicki, bardzo dobry w scenach z Fantazym i z Respektami, zanadto może usunął w cień — na rzecz komizmu — tego człowieka, który „zacierpal ser-

cem, krulią”, gdy mu porwano żonę.

Major był w ogóle sympatyczny, a scena jego zgonu, zawsze tak mecząca dla widzów i dla aktorów, została odpowiednio stonowana.

Cały ten finał razem z ową niewyjaśnioną śmiercią dziadka stanowi przykre obciążenie i mam to przekonanie, że jeśli Słowacki nie opublikował dramatu, to właśnie dlatego, że widział, iż trzeba zakończyć jakoś przerobić. Ale na to już nie ma rady.

W sumie biorąc, obecne wznawienie „Fantazego” na scenie krakowskiej to pozycja bardzo poważna. Warto by jednak popracować nad tym, żeby bardziej wyzyskać ten nieprzebrany skarbiec odcieni i efektów, jakim jest każdy moment, a nade wszystko dialog tego świetnego dramatu.



„Fantazy” na scenie teatru im. J. Słowackiego w Krakowie

CO JEST MIARĄ LITERACKIEGO ARCYDZIEŁA?

TAK się złożyło, że artykuł p. Li-chańskiego „Katolicyzm uśmiechnięty” przeczytałam wkrótce potem, jak nadszedł bezsennej nocy przeciwstawiałam pasjonujący temat rozmyślań: o książkach, które kocham. Myśli nasze szły zatem zbliznym torem, ale wręcz niezgodnie. Dlatego też dziś do Was piszę.

Wiem uprzedzić, że list mój nie będzie mile widziany. Przypuszczam nawet, że w pewnym momencie spotka się z okrzykiem: „no, przecież z czowiekiem na takim poziomie umysłowym nie podobna dyskutować”. Przypominam sobie, że w tymże samym „jubileuszowym” numerze pisma głosiłicie mocno prawo czytelnika do odpowiedzi. Musicie mnie zatem wysłuchać i powinniście mi odpowiedzieć na wysunięte w dalszym ciągu listu pytania.

Ja ze swej strony precyzuję nie tyle to, co rozumiem przez książki, które kocham, bo to określenie mówi samo za siebie, że są to książki, które stawiam ponad wszystkie inne. Precyzuję tylko, czym się kieruję przy wyodrębnieniu tych najcenniejszych dla mnie dzieł spośród całej falangi książek-przyjaciół.

Książki, które kocham, są to te, do których powracam stale pod wewnętrzny przymus tęsknoty. Darzą mnie one bowiem radością i zachwytem zaspokajając moją potrzebę dobra i moralnego piękna. Odnajduję w nich za każdym razem coraz to nowe wartości i wskazania — w miarę jak życie „uczula” mnie na coraz to nowe zagadnienia. Po przeczytaniu ich podnoszę głowę i prostuję ramiona. Zniknięcie tych książek ze świata uważałabym za niepowetowaną stratę osobistą.

Sądzę, że podobne kryteria stosuje do książek każdy z nas. Ciekawą jest tylko rzecz, jakie książki wzmieszcza na tym bibliotecznym Olimpie. Przypnij, że p. Lichański zaatakował, i to nieszlachetną bronią drwiny, niektóre z moich „bożyszcz”. Pełna ich lista nie jest długa. Oto ona: „Pan Tadeusz”, „Trylogia i „Quo vadis”, „Beatum Scelus” i „Bez oręża”, „Dr Piotr” i „Ludzie bezdomni”; z nowszych: „13 opowieści” Pruszyńskiego i „Po prostu miłość” Wandy Wasiliewskiej. W tym miejscu precyzuję wszystkie Wasze niepoehlebne wykrzykniki pod moim adresem, zamykam listę trzema pozycjami Cronina i... wyjaśniam dalej.

„Jak to się dzieje, że Sienkiewicz i Zofia Kossak zatrzymali w moich oczach prymat mimo tej wielkiej ewolucji wewnętrznej, jaką przeżył?” (...) Sprawia to promieniująca z dzieł tych pisarzy głęboka „ludzkość”, humanitas, nacechowana tym, co najpiękniejsze w kulturze chrześcijańskiej: wrażliwością na cudze cierpienia i poszanowaniem godności człowieka. Możemy ją też nazwać humanizmem teocentrycznym, bo jej ośrodkiem zainteresowania jest człowiek podporządkowany Bogu.

A jak wygląda Bóg w dziełach Sienkiewicza i Zofii Kossak? Pojęty może bardzo prosto, ale konsekwentnie wyznawany w życiu, w czynach i w sercu, obecny w każdej ludzkiej sprawie. Ten Bóg, miłosierny i łaskawy dla ziemskiej miłości, odpowiada mi daleko bardziej niż Bóg Bernanosa, który wstawia suych wyznawców na ciężkie wewnętrzne rozterki i budzi we

mnie uczucie lęku i przynęmbienia. I wątpliwie: czy może być w katolicyzmie tyle niepokoju?

Czy „Quo vadis?” pojmuję katolicyzm płytko, jeżeli w osobie Winicjusza wysuwa problem przebudowy duszy ludzkiej zgodnie z wymogami religii — problem zwyciężenia samego siebie? Jeżeli w osobie Petroniusza daje nam (tak aktualny u Bernanosa) problem człowieka „letniego”? Jeżeli w sposób dla czytelnika przekonujący przeciwstawia materialnemu pięknu świata pogańskiego moralne piękno życia chrześcijańskie, wynikające z miłości Boga i bliźniego?

Zaakcentowanie w religii chrześcijańskiej właśnie czynnika codziennie praktykowanej miłości bliźniego i czystości obyczajów mnie osobliwie i dziś bardzo odpowiada.

A jeśli już mowa o Sienkiewiczu i o Trylogii — tej rzekomej glorifikacji szlachetczyzny. Widać różnych rzeczy można się dopatrzeć w tej samej książce...

Pamiętam: w roku szkolnym

1944/45 w moim tajnym gimnazjum w Zalesiu Górnym pod Warszawą „przerabiałam” z młodzieżą Trylogię. Jako niezawodowa nauczycielka szłam drogą własnej inwencji w wyborze tematów wypracowań. Pisałam je i ja sama, bo to była moja metoda poglądowego nauczania: jak potraktuje temat klasa, a jak umię go nauczycielka.

Temat I brzmiał: „Sienkiewicz oskarża”. Jakże wtedy własnymi słowami Trylogii pognebiliśmy „stan szlachecki”. Czterpaliliśmy nie tylko z jawowitej wypowiedzi Wrzeszczo-wale, ale ze słów wojewody Kisiele-wa, z rachunku sumienia Jaremy. Jakże skończył się od oczu temu kntazioziw za atamana Suchą-Rukę, wypominając mu, że nawet poganie postów szanują. Jak oburzaliśmy się na wprowadzenie wojsk na posiedzenie Senatu. Nawet panu Wołodjowskiemu przymówiliśmy z okazji lekcji, że „warcholstwo tyleż szkód przynosi Rzplitej, co wojny”. Jak potępiłmy przywzięt i pychę— dwa motory szlacheckich czymów. I wkrótce potem omawialiśmy

„Najpiękniejszy” postępek Pana Skrzetuskiego”. Jakże ten temat „chwycił”. Młodzież rozwiązywała go niczym rebus, ciekawa „co też nasza pani miała tu na myśli?”. Najgorliwiej nawet po nocy wertowali „Ogniem i mieczem” od deski do deski... Zgodziliśmy się potem, że najpiękniej zachował się Skrzetuski w rozmowie z Kisielem. Dlaczego właśnie wówczas? Dlatego, że zdobył się na samodzielność myślenia i wartościowania, nie poddał się opinii środowiska tak bliskiego mu uczuciowo, że potrafił dopatrzeć się w przeciwniku pełnej dobrej woli i miał odwagę cywilną hold mu złożyć!

I właśnie za tę postawę wobec każdego człowieka, pełną życzliwości, zrozumienia i współczucia, jak i za postawę wobec spraw narodowych i społecznych, które każe szukać dobrej woli i w obcym obozie — kocham książki Sienkiewicza.

Zresztą nie tylko ich ładunek religijny, patriotyczny i ogólnoludzki mi odpowiada. Zachyca mnie w nich dar obrazowania, umiejęt-

ność stosowania efektów dramatycznych, i dobrze pojętej sensacji. Zachyca mnie wytworność Petroniusza, gętkość umysłu Chilona i wspaniały dowcip Zagłoby. Nie razi mnie papierowość postaci Skrzetuskiego, bo to jest postawienie ideału na zamówienie społeczne, i ideału, który, moim zdaniem, pozostanie zawsze aktualny, choćby ze względu na cnotę karności obywatelskiej. Zresztą czy takim właśnie nie był żywy człowiek owych czasów: Stanisław Żółkiewski?

A teraz przechodzę do zapytań: I. Czy książka, która wchodzi tak głęboko w życie ludzi — choćby jednego tylko pokolenia — może nie być arcydziełem? Czy siła oddziaływania na czytelnika nie jest tu pewnym kryterium? Jakie kryteria stosujecie wy — zawodowi krytycy — w ocenie dzieł literackich? Na to pytanie powinniście odpowiedzieć nie tylko mnie. Jeśli ja mam na ten temat dużo wątpliwości, mimo wyższego wykształcenia, to prawdopodobnie mają je również i inni Wasi czytelnicy.

2. Co rozumie Lichański przez „dewocyjne tradycje” Sienkiewicza i Zofii Kossak? Słowo „dewocja” wymaga, jak widzę, definicji. W mowie potocznej wyraz ten oznacza religijne zakłamanie: klepanie paciery przy uczynkach nie tylko niezgodnych z nakazami dekalogu, ale wypływających z istotnej obojętności w rzeczach wiary. Proszę o wskazanie w czym tak pojęta dewocja wypowiadała się w dziełach tych dwojga pisarzy? Czy przy dobrej woli nie można raczej w nich znaleźć „katolicyzmu uśmiechniętego”, a zarazem bardzo na serio chociażby w postaci św. Franciszka — w „Bez oręża”.

Stawiając te pytania nie odwołuję się oczywiście do solidarności narodowej Pana Lichańskiego. Przy ocenie dzieł literackich jest ona niewątpliwie zbędna. Chciałabym tylko zobaczyć, czy stać Pana na zwykłą solidarność ogólnoludzką, która nie pomniejszając bezstronności oceny, każe z szacunkiem dotykać każdego przedmiotu ludzkich umiłowiań.

STEFAN LICHAŃSKI

PRZECIWIW AUTOMISTYFIKACJI

L IST p. Ezupowiczowej to ważna i cenna wypowiedź. Ważna i cenna przede wszystkim dlatego, że stawiająca zagadnienie na płaszczyźnie realnych doświadczeń czytelnicy, podejmująca sprawę z punktu widzenia życiowych potrzeb i zainteresowań konkretnego indywidualium. Żadnych pryncypialnych wydrągania na temat Istoty Sztuki, Piękna, Dobra, Prawdy oraz wzajemnych stosunków pomiędzy tymi wzniosłymi abstrakcjami, a natomiast fakty, fakty stwierdzone osobistym doświadczeniem, żywe mięso konkrētu. Ten list to próba frapującej publicystyki, ale także i cenny zapis z zakresu psychologii i socjologii literatury. I tak właśnie chcę go traktować w swej odpowiedzi. Dlatego też odpowiedź ta będzie i dość długa i dość nudna (zwłaszcza dla czytelników lubujących się w polemikach „ciężkich”, pisanych „z wigorem”). Uważam jednak, że p. Ezupowiczowa poruszyła w swym liście sprawy zbyt zasadnicze, aby dało się je zbyć czy to felietonowymi dowcipuszkami, czy też adwokacko sofistycznym „uzgadnianiem poglądów”. Nie piszę po to, by zamknąć swe rozważania sprytną formułą jakiegoś „zdrowego kompromisu”. „Różnił się, a nie całował”, jak mawiał w podobnych wypadkach Norwid.

Zaczynamy tedy. Przede wszystkim oczyśmy stół do gry. Chodzi mi tu konkretnie o apel mojej Szanownej Oponentki do „zwykłej ogólnoludzkiej solidarności”, która „każe z szacunkiem dotykać każdego przedmiotu ludzkich umiłowiań”. Ba! Droga Pani, ale w takim razie nie śmiałbym zaczepić nie tylko „Quo vadis?”, czy „Krzyżowców”, ale nawet „Tredowatej” i „Dzikuski”, bo nuż poczuje się dotkniętą w swych największych uczuciach stara Kołunkiewiczowa, właścicielka sklepu spożywczego na Nowym Brudnie? I jak w tych wa-

runkach uprawiać krytykę literacką? Pisać o byle banialuce obzrymą rozprawę „zasadniczą”, uzbrojona w całą aparatkę odnośników, wykazów bibliograficznych, indeksów rzeczowych i osobowych? A czy nawet i to by pomogło? Przecież skoro ostatecznie bilans takich rozważań wypadnie ujemnie, to i tak może ktoś wytoczyć krytykowi sprawę o „szarganie świętości”. Nie, nie tu nie pomoże. Gdybym dał się skusić pani Ezupowiczowej i na zlecany przez nią sposób zaczął odczuwać solidarność z czytelnikami i ich literackimi „ukochaniami”, to musiałbym swoją krytykę lirę zawiesić na kółku i podjąć starania o posadę konduktora w tramwajach miejskich. I nie tylko ja. Bo na cóż w ogóle krytyka, skoro „nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba” i skoro „de gustibus non est disputandum”?

Czyż jednak tak nie jest? Czyż zdolamy przy pomocy rozumowej argumentacji zmienić upodobania czytelnicze kogoś, kto za szczyt twórczości literackiej uważa „Przemień” z wiatrem”, a nudzi się z siłą dziesięciu mopsów parowych na godzinę nad Conradem i Dostojewskim? Przecież taki zawsze może odpowiedzieć: „Może wy i macie obiektywne racje, ale mnie mimo to większą przyjemność sprawia lektura Margaret Mitchell niż wszystkich waszych Conradów i Dostojewskich. Taki już jestem. Takie mam upodobania”.

I co takiemu zrobić? Uznać chyba tylko, że musimy, jak Abraham i Lot, zejść się w przeciwne strony. Będąc jednak z natury człowiekiem złośliwym i upartym, nie odejdę. I nie przestanę „szargać świętości”. I zapytam wprost: skądże, u licha, wziął się ten niedorzeczny przesąd, że nasze upodobania są czymś żywiolowym, elementarnym, „bezpośrednio danym”, nie podlegającym żadnym rozbiorem i analizom? Dlaczego mam paść przed nimi płakiem na ziemię, jak dzikus przed jakimś groźnym i straszliwym fetysemem, skoro Pan Bóg już za czasów Mojżesza zabronił składania czci bałwanom? Przecież ostatecznie owo sławetne „upodobanie” to nie żadna nieodgadniona tajemnica, ale o prosto rezultat działania pewnego specyficznego typu odruchów warunkowych, wpojonych jednostce przez tresurę środowiskową, wychowanie, snobizm lub inne tego rodzaju czynniki dostępne badaniu socjologicznemu i psychologicznemu.

Nie, nie ma tu tajemnic ani misteriów i nie ma też powodu do robienia tabu z czegoś, co jest naturalnym wytworem określonych warunków egzystencji. Najbardziej z pozoru irracjonalne i subiektywne „ukochania” literackie są tylko pochodnym produktem działania tych reakcji wyuczonych, przy których pomocy rodzina, szkoła, bliźni i dalsze kręgi środowiska, społeczeństwo, państwo, wyznaczenie religijne kształtowały daną jednostkę. (Oczywiście, trzeba tu uwzględnić w jak najszerszym zakresie wszelkie psychofizjologiczne właściwości i odrębności danej jednostki, ale nie należy przeceniać roli tych elementów: mogą one modyfikować, osłabiać lub wzmacniać skuteczność oddziaływań środowiskowych, nie mogą jednak ich zniewolować). Ow przyswojony przez jednostkę zespół reakcji wyuczonych to jej sposób zachowania się w świecie, jej styl życia. Styl ten narzuca konieczność patrzenia na świat pod pewnym określonym kątem, tworzy to, co nazywam schematem apercepcyjnym danego indywidualium. Schemat ten, zaś, kształtujący w taki a nie inny sposób nasze widzenie świata, kształtuje zarazem nasz sposób my-

ślenia o nim, staje się gotową formą, tworzyłem dla naszej filozofii życiowej, dla naszego tzw. światopoglądu. Jest zaś rzeczą zrozumiałą, że dla tej nadbudowy pojęciowej, dla owego światopoglądu szuka się potwierdzenia w świecie obiektywnym.

Czy potwierdzenia tego szuka zainteresowany osobnik na drodze naukowej weryfikacji swoich poglądów, przekonań i przeświadczeń? Czasem tak, ale często nie. Bo a nuż okazałoby się, że obiektywna wiedza o rzeczywistości wżruszy ramionami nad przedstawionym jej do zatwierdzenia światopoglądem? Lub nawet puknie się znacząco palcem w czoło? Lepiej zwrócić się w tej sprawie do niezawodnej „wszechpocieszycielki”: literatury.

Twórczość literacka jest pewną metodą poznawania rzeczywistości, ale i ten, kto szuka w książkach nie obiektywnej wiedzy o świecie, lecz potwierdzenia swoich mniemań, przeświadczeń i przywziętych, znajdzie wcześniej czy później to, czego szukał, i oczywiście... „pokocho”. Najgorzej i najserdeczniej zaś będzie on kochał tę książkę, która przyniesie mu wizję świata będącą idealnym (lub barzo bliskim idealnego) spełnieniem jego życzeń. Przyrywa on wtedy wrażenie obcowania z „Prawdą” (przykrojoną na miarę jego prywatnego „widzi-musia”) i książkę, która mu przyniosła tak wspaniały dar, skłonny jest uważać nie tylko za arcydziełgodne palladium godne umieszczenia w panteonie jego prywatnych świętości, ale także za dzieło o obzrymiej ogólnoludzkiej doniosłości, za skarbnicę rzetelnej wiedzy o świecie i niewątpliwą cudu sztuki. Entuzjazm emocjonalnego uwielbienia rośnie wtedy zazwyczaj tym potężniej im mocniej odczuwa się potrzebę automatyzacji, półświadomych zakłamania i przemilczeń tłumiących lepszą, dokładniejszą wiedzę o sprawach tego świata.

Oto jest droga, na której prywatne mitologie uzyskują swoje pseudobiektywizacje i pseudoracjonalizacje w mitologiach literackich. A zarazem jest to wyjaśnienie tej dziwacznej z pozoru historii, że przedmiotem bardzo głębokich „ukochania”, rozczulen i entuzjazmów stają się niesamowite wręcz smierzy, płody najrzetelniejszej grafomanii i najprzerażliwszej głupoty, arcydzieła złego smaku i twory myśli odwracającej się plecami od swej epoki lub też walącej zacządźniałym łbem w mury dziejowej rzeczywistości.

„Czy książka, która wchodzi (...) głęboko w życie ludzi — choćby jednego tylko pokolenia — może nie być arcydziełem?” — zapytuje p. Ezupowiczowa. Odpowiem na to wprost: w subiektywnym odczuciu tego pokolenia musi być arcydziełem, ponieważ dogadza gustom tego pokolenia i czyni zadość jego potrzebom estetycznym i intelektualnym. Zauważmy jednak, że nie tylko jednostki, ale całe pokolenia, warstwy społeczne, społeczeństwa, narody (a przynajmniej kierujące nimi w danej chwili oligarchie i elity) mogą być zainteresowane w utrwalaniu mitologii z gruntu kłamliwych, zwróconych swym ostrzem przeciw rzeczywistości siłom dziejotwórczym, przeciw najelementarniejszym racjom zdrowego rozsądku i poczucia moralnego, przeciw życiu. Czy sądzi Pani, że całe masy Niemców w okresie hitlerzysmu entuzjazmowały się pseudonaukową elukubracją Rosenberga „Mythus des zwanzigsten Jahrhunderts” tylko przez obłąd lub ze strachu przed Gestapo? Bynajmniej! Kochali tę książkę, gdyż nadawała ona wyższą sankcję temu,

co rozpętał w nich nieszczęsnym marlarzyna o napoleońskich ambicjach, stwarzała pozory obiektywnej racji dla działalności „twórców tysięcletniej Rzeczy”.

Tak, proszę Pani, choćbym miał zyskać opinię człowieka całkowicie pozbawionego wszelkich wyższych i szlachetniejszych uczuć, zawsze, ilekroć powie Pani: „Arcydzieło”, będę pytał: „Dla kogo arcydzieło? Z jakiego powodu arcydzieło?”, ilekroć wyzna Pani: „Kocham tę książkę”, będę pytał: „Po co ją Pani kocha?” Bo my, krytycy, moja Droga i Szanowna Oponentko, pracujemy przy dwóch równoległych szeregach manometrów: pierwszy z nich zainstalowany jest tam, gdzie życie przelewa się w sztukę, drugi — gdzie ekstrakt sztuki wpływa z powrotem w życie. Powiada Pani, że sam alchemiczny proces przemiany surowca doświadczeń i przeżyć w złoto sztuki odbywa się właśnie pomiędzy tymi dwoma liniami granicznymi? Oczywiście, że tak, ale obiektywna ważkość dokonania artysty, ich znaczenie dla życia i rozwoju kultury zależy właśnie od tego, w którym punkcie sztuka zahaczyła o rzeczywistość, żeby ją eksplloatować, i w którym atakuje ją, żeby narzucić jej swoje osiągnięcia jako ważny wkład pomnażający ogólną sumę wartości humanistycznych. Działanie estetyczne ważne jest dla nas nie jako manifestacja tzw. Piękna lub indywidualnego talentu, ale jako specyficzna, jedyna w swoim rodzaju i niesprowadzalna do żadnych innych form działalności: kulturotwórczej.

Tyle, co do meritum sprawy. Przejrzmy teraz do kwestii atakowania „nieszlachetną bronią drwiny” autorów szczególnie miłych sercu mojej Oponentki. Wysłunięty przez nią zarzut opiera się w znacznym stopniu na nieporozumieniu. To, co ona określa jako dewocję (religijność nieszczera i obłudna), ja zwykłem nazywać bigoterią. Dewocja natomiast — moim zdaniem — to określenie potoczne odpowiadające mniej więcej co do zakresu i treści uczonemu terminowi „fideizm”. Podstawowym aksjomatem katolicyzmu dewocyjnego jest dla mnie aforizm Sienkiewicza o mszy, która ciągle się odprawia, choć wszystkie systemy po kolei diabli biorą. Katolicyzm ten, to katolicyzm biernie ortodoksyjny, przyjmujący naukę Kościoła „do wiadomości i stosowania”, ale bezkosztowno rezygnujący z wszelkich ambicji czynnego udziału w kształtowaniu przemian historycznych, jak i z inspirowania fermentu myślowego w społeczności wiernych i dlatego podatny na sugestie chaddeckiego oportunisty, jeśli chodzi o życie społeczne, a skrajnie ortodoksyjnego i konserwatywnego integrzmu, jeśli chodzi o życie religijne. Rozpowszechnienie się tego typu religijności grozi społeczności katolickiej skostnieniem, wycofaniem się na margines historii i dlatego postawa dewocyjno-fideistyczna jest nie do przyjęcia w epoce wielkiej przebudowy społecznej świata.

Czy miałem prawo zaliczyć Sienkiewicza do reprezentantów tej właśnie postawy? Sądzę, że tak. Nie mogę w tym miejscu podejmować polemiki z p. Ezupowiczową na temat „Ogniem i mieczem”, gdyż temu zagadnieniu trzeba by poświęcić osobny artykuł, ale ograniczę się do paru uwag na temat „Quo vadis?”. Jest to książka o starciu dwu wielkich potęg: imperium rzymskiego i chrześcijaństwa, w której nie znaleźmy ani śladu wielkiej, zasadniczej dyskusji światopoglądowej. Rzym reprezentuje banda lajdaków, głupców i rozpuśników, a chrześcijaństwo

gromadka bardzo pobożnych, ale cokołwiek „safandulowatych” „poczciwów”, którym przewodzą Apostolowie o poziomie umysłowym i światopoglądzie prowincjonalnego wikarego z czasów Sienkiewicza. Jeśli pominąć parę znakomych partii opisowych, jak np. pożar Rzymu, walkę Ursusa z turem itp., to powieść ta, będąca żalonaą karykaturą i rzymskiej starożytności i pierwotnego chrześcijaństwa, powieść, w której miłosne tarapaty małkolewałego Winicjusza spychają na ostatni zgola plan wielki konflikt dwu idei, dwu światów duchowych, niczym nie wznosi się nad poziom eksploatujących równieź tamtą epokę utworów tego typu, co „Ben-Hur”, „Fabiola”, „Ostatnie dni Pompei”. Obiektywnej wiedzy o przedstawianej epoce „Quo vadis?” zawiera akurat tyle samo, co malowidła Siemradzkiego.

Sienkiewicz był wielkim artystą-narratorem, genialnym gawędziarzem, który jako mistrz opowiadania mógłby być zestawiony chyba tylko z Dickensem. Był tym, który do szczytów sztuki doprowadził zainicjowany przez Rzewuskiego, Pola, Kaczkowskiego typ gawedy kontuszowej. Był autorem kapitalnych romansów „przygodowych”, z których dwa najlepsze („Ogniem i mieczem” i „W pustyni i w puszczy”) skłonnym jestem stawiać na równi z takim arcydziełem rodzaju jak „Wyspa skarbow” Stevensona. Był wreszcie autorem jednej z najlepszych w naszym piśmiennictwie powieści historycznej — „Potopu”. Jeżeli jednak chodzi o zawartą w jego dziełach sumę wiedzy o własnej epoce, o moralne i intelektualne walory jego prozy, to dorobek tego czarującego gawędziarza przedstawia się ubożej niż dorobek Kraszewskiego czy Korzeniowskiego, nie mówiąc już o Prusie lub Orzeszkowej. Dlatego też wydaje mi się, że próby bronienia go jako wieszca, nauczyciela narodu, wychowawcy luś tam pokoleń naszej młodzieży należy uznać za bezcelowe.

Ze wszystkich wymienionych wyżej powodów nie mogę uznać Sienkiewicza i jego epigonki, Kossak-Szczuckiej, za pisarzy równych rangą Bernanosowi i Mauriacowi, mimo że nie entuzjazmuję się bynajmniej (przez analogię do „czarnego realizmu” posługując się tym określeniem), „czarnym katolicyzmem” tych autorów. Dlatego też, choć „Klucze Królestwa” nie są na tle prozy angielskiej pozycją bynajmniej pierwszorzędą (aczkolwiek są bardzo dobrą „książką — do czytania”), rozpałem się tak szeroko o powieści Cronina, a raczej o możliwościach, które jej oddziaływanie oby wyprowadziło ze stanu potencjalnego w stan twórczej aktywności. Pisałem bowiem o „katolicyzmie uśmiechniętym” nie po to, by zalecać bez troska wesołość spod znaku: „Do góry uszy! Jakóż to będzie!”, ale z myślą o tej wielkiej radości, którą daje poczucie zrozumienia sensu epoki i czynnego współdziałania z formującymi jej kształt siłami dziejotwórczymi.

WSPOMNIENIE Z LIPSKA

(Dokończenie ze str. 3)

najważniejszym tematem obrad. Przebiegała ona ze wszystkich niemal wypowiedzi, z dyskusji, z referatów wygłoszonych przez wybitnych naukowców i ewangelickich kolegów. Problematyka Zjazdu została podzielona na kilka działów, w ramach których toczyły się szczegółowe dyskusje. Rozpatrywano więc tematy, poruszające zagadnienia prawa rodzinnego, osobowości ludzkiej i typu nowoczesnego człowieka, sprawę rozwoju i wpływu nowoczesnej techniki na życie ludzi, zasady budowy nowych miast itd.

Wielką rozpiętość tematyczną Zjazdu miała spełnić podwójne zadanie — mianowicie wywrzeć pewien wpływ o charakterze religijnym oraz rozbudzić zainteresowanie i jasno poświadczyć sprawę w poszczególnych kwestiach politycznych i społecznych. W ten sposób oddziaływanie Zjazdu przeniosłoby się na znacznie szerszą płaszczyznę, poruszyłoby wszystkich Niemców, bez względu na ich wyznanie, troszczących się o jedność i rozwój swego narodu.

Czy Zjazd zrealizował te zadania? Zanim udzielimy na to odpowiedzi, trzeba uprzednio zwrócić uwagę na metodę obrad Kirchentagu. Podczas obrad panowała zupełna swoboda w wyrażaniu poglądów, naturalnie z zastrzeżeniem, aby trybuna mównicy nie była wykorzystywana jako trybuna agita-

cji politycznej. Jest ciekawe, że właśnie w dyskusji ujawniła się szczerść dyskutantów, którzy różnie interpretowali pewne kwestie. Rozbieżność poglądów — wynikająca niewątpliwie z różnych uwarunkowań społecznych i politycznych — dostarczana szczególnie w wystąpieniach zachodnio-niemieckich dyskutantów, nie stwarzała atmosfery wrogości, lecz wręcz przeciwnie, pozwalała bliżej zapoznać się z argumentami przeciwników. W rozmowach i dysputach decydowała nie negacja lecz idea doprowadzenia w przyszłości do lepszego zrozumienia się, a dzięki temu — do pełniejszego zbliżenia ludzi o odmiennych poglądach.

Metoda ta, kontynuowana z wielką cierpliwością i wyrozumiałością, przyniosła w wielu sprawach pozytywne rozwiązania dzięki wzajemnemu skonfrontowaniu różnych pojęć i celów, reprezentowanych przez chrześcijan — ewangelików niemieckich. Wydaje się, że zwycięstwo idei różnów i porozumienia nad upartą negacją, zaprzeczającą już z góry wszelkie możliwości uzgodnienia spraw spornych, jest dużym sukcesem Dnia Kościelnego. Z tych bowiem stanowisk znacznie bliższą uczestnikom Kirchentagu wydała się sprawa jedności Niemiec.

Zbigniew Czajkowski

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Młotowska 48, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakładu Drukarskiego i Wskleśdrukuwce RSW „Prasa” w Warszawie, ul. Młotowska 15. Zam. nr 1817 5-B-150091

